

GRUDZIEN

2021

TUBA

SPEKTATOR

PAMIEĆ CIERNI

**WIELOIMIENNY
BOHATER**

**BONGOU
STRAY DOGS**

**PIEŚŃ CZTERECH
BRACI**

**ŚWIĄTECZNE
PRZEPISY
KULINARNE**

**RECENZJE
REŻYSERÓW-
-HAYAO
MIYAZAKI**

**TAJEMNICE
ZBRODNI
ZODIAK**

MOVE TO HEAVEN

MIKOŁAJKI

OD REDAKCJI

Drodzy czytelnicy,

nadchodzą długo wyczekiwane święta Bożego Narodzenia. Z tej okazji przygotowaliśmy dla Was świąteczny numer Tuby, z którego dowiecie się między innymi, jak do świąt przygotowują się mieszkańcy innych krajów albo w jaki sposób obchodzą znane na całym świecie Mikołajki. Miłośnicy kulinariów także znajdą coś dla siebie – kilka ciekawych przepisów na świąteczne słodkości.

Życzymy wszystkim czytelnikom pięknych, radosnych świąt Bożego Narodzenia, spędzonych w zdrowiu i ciepłej, rodzinnej atmosferze. Niech miłość i moc nadziei wypełni ten wyjątkowy czas, a lektura gazetki urozmaici świąteczną przerwę od nauki!

Karolina Ostrowska



SPIS TREŚCI

MIKOŁAJKI W POLSCE I NA ŚWIECIE	3
HISTORIA ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA	4
CO DOBREGO?	5
<i>PAMIĘĆ CIERNI</i>	10
<i>PIEŚŃ CZTERECH BRACI</i>	13
ROZDZIAŁ I CZ.V	13
<i>SPEKTATOR</i>	19
TAJEMNICE ZBRODNI - ZODIAK.....	24
<i>WIELOIMIENNY BOHATER</i>	25
<i>BUNGOU STRAY DOGS</i> – BEZPAŃSCY LITERACI.....	28
<i>MOVE TO HEAVEN</i> – CZYLI PRZEPROWADZKA DO NIEBA	29
RECENZJE REŻYSERÓW - HAYAO MIYAZAKI	31
CZY WIESZ, ŻE...(ŚWIĄTECZNA EDYCJA)	33



MIKOŁAJKI W POLSCE I NA ŚWIECIE

Tradycyjnie w Polsce Mikołajki świętujemy 6 grudnia. Dzień ten obchodzony jest na wiele sposobów i różni się nieco w zależności od regionu. Jedno jest pewne, Mikołaj pojawia się niezauważony w nocy i zostawia pod poduszką prezenty. Wiele osób wierzy, że Mikołaj przychodzi tylko do dzieci, ale to nieprawda, przybywa on do wszystkich, bez względu na wiek, trzeba tylko mocno wierzyć i być grzecznym.

Mikulas w Czechach, czyli Święty Mikołaj, też obchodzony jest 6 grudnia, ale podarunki zostawia w butach, które przygotowywane są przy drzwiach.

W Holandii nazywa się Sinterklaas i przychodzi 5 grudnia, obdarowując drobiazgami, które zostawia w butach przy kominku.

W Hiszpanii zaś Mikołaj obchodzony jest 6 stycznia, a jeśli dzieci są niegrzeczne, to dostają kawałek cukru przypominającego bryłę węgla.

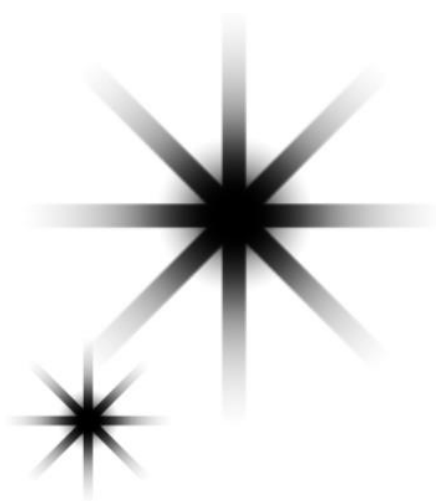
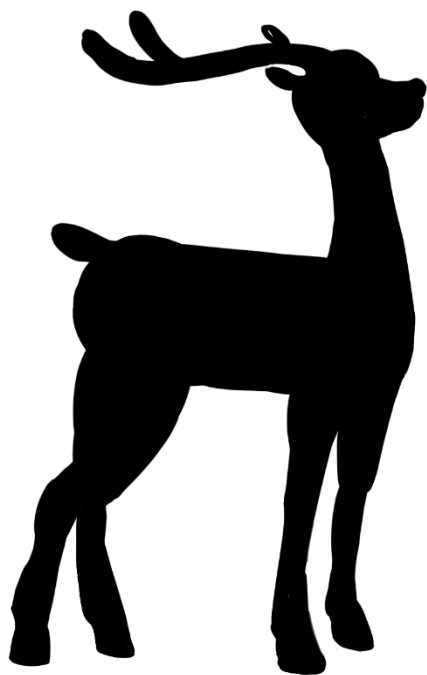
W Rosji natomiast jest to Dziadek Mróz i w przeciwieństwie do popularnego Mikołaja przychodzi przez drzwi, ale dopiero na Nowy Rok.

We Włoszech prezenty rozdaje wiedźma Befana w Święto Trzech Króli. Gdy dzieci są niegrzeczne, zostawia im węgiel lub czosnek.

Inną tradycją jest **Święto Mikołaja w Syrii**, gdzie dzieci dostają prezenty od wielbłąda 1 stycznia w zamian za wodę i owies.

Jak się okazuje, Mikołajki są świętem łączącym różne regiony świata. Warto pamiętać, że nie liczy się cena i wielkość prezentu, lecz pamięć o obdarowanym.

Marcin Sokołowski



HISTORIA ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

Czy zastanawialiście się kiedyś, skąd wywodzi się tradycja dawania sobie podarunków lub dlaczego "współczesny" Święty Mikołaj jest ubrany w czerwono-biały strój?

Wszystko zaczęło się od jednego człowieka i wielu dobrych uczynków. Mikołaj urodził się w **Patras w Grecji ok. 270 r.** Był jedynym dzieckiem swoich zamożnych rodziców. Podobno już w młodości wyróżniał się pobożnością oraz współczuciem dla cierpienia bliźnich. Po śmierci rodziców swoim znacznym majątkiem wspomógł ludzi biednych i potrzebujących. Powstało wiele legend i historii o tym, jak biskup Mikołaj pomagał bliźnim.

Zwyczaj wręczania prezentów 6 grudnia wywodzi się ze średniowiecznych legend o jego życiu.

Już w X wieku w Mikołajki wystawiano dramaty liturgiczne dla dzieci, opowiadające historię świętego, które w późnym średniowieczu stały się niezwykle popularne w całej Europie. Pewna legenda opowiada o tym, jak Mikołaj pomógł trzem córkom zubożałego szlachcica, które nie miały wystarczających posagów, aby wydać je za mąż, Mikołaj, podrzucając im skrycie pieniądze, przyczynił się do pięknego uczynku.

O powszechności św. Mikołaja jeszcze dzisiaj świadczy piękny zwyczaj przebierania się za starszego pana w czerwonym stroju z długą siwą brodą, pastorałem, z miłym uśmiechem i znanym nam wszystkim "Ho, Ho, Ho". Co ciekawe, kolor czerwony został spopularyzowany w **1930** roku przez koncern **Coca-Cola**, dzięki reklamie, w której owa postać wystąpiła. Pierwotnie jednak święty ten nosił szaty biskupa, a jego strój utożsamiano z kolorem zielonym ze względu na kolor płaszcza, którym był okryty. I tak oto, rozpowszechnił się jego "nowy wizerunek" za sprawą nośnej reklamy. Obecnie kolejna duża firma o nazwie Pepsi promuje niebieskiego św. Mikołaja, jednak wizerunek ten nie jest jeszcze tak popularny, jak znany nam wizerunek z reklam Coca-Coli.

Pamiętajmy jednak, że nie szata zdoła człowieka. Nieważne kim jesteśmy, jak wyglądamy i z jakim kolorem się kojarzymy ludziom. Ważne są uczynki, dobre słowa i to jak podchodzimy do swojego życia. Myślę, że każdy z nas może zainspirować się tą postacią i pozwolić na to, aby św. Mikołaj był naszym przewodnikiem w dobrych uczynkach.

Wesołych Świąt!

Wiktoria Bogdańska



CO DOBREGO?

~ najlepsze przepisy na święta Bożego Narodzenia ~

Święta to z pewnością jedno z najbardziej magicznych i klimatycznych dni w roku. Począwszy od pięknych ozdób, lampek, bogato ubranej choinki, a skończywszy na apetycznym zapachu docierającym zza kuchennych drzwi. O poranku witają nas promienie słońca rozpraszane w kryształkach lodu, a spędzanie mroźnych wieczorów ciężko wyobrazić sobie bez grubego kocyka, kubka gorącej herbaty i dobrej lektury. Wydawać by się mogło, iż już nic nie sprawi, że ten czas będzie lepszy. Nic bardziej mylnego. Coś dobrego na słodko lub słono zawsze poprawia nam nastrój. A co dobrego?

~ Orzechowiec dla leniwych ~

gotowy w 10 minut

Składniki na ciasto:

- 3 jajka
- 1 szklanka oleju (1 szklanka = 250 ml)
- 2 szklanki mąki pszennej
- 1 szklanka jogurtu naturalnego
- 1 szklanka cukru
- 1 szklanka orzechów włoskich tartych - 200 g
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia

Składniki na górę:

- 1 puszka kajmaku lub masy krówkowej
- 2 łyżki orzechów włoskich tartych

*Ciasto wykonane na blasze o wymiarach 20×30 cm

Wykonanie:

Wszystkie składniki na ciasto muszą być w temp. pokojowej. Do jednej miski wbij jajka, wlej olej, dodaj jogurt i wszystko złącz w jednolitą masę. Do drugiej miski wsyp suche składniki, tzn.: mąkę, cukier, proszek do pieczenia, orzechy i wymieszaj. Do sypkiej masy dodaj poprzednią (płynną) i dokładnie wymieszaj (nie miksuj!). Ciasto wylej na blachę wyłożoną papierem do pieczenia i rozprowadź je za pomocą łyżki lub łopatki.

Ciasto wstaw do nagrzanego piekarnika (180 stopni (góra-dół; bez termoobiegu)) Czas pieczenia to około 50 minut. Aby być pewnym czy ciasto jest upieczone, wykonaj tzw. test suchego patyczka: włóż drewniany patyczek (może być szaszłykowy lub zwykła wykałaczka) na tyle głęboko, by dotknął blachy. Jeżeli po wyjęciu patyczek będzie suchy, ciasto jest upieczone, jeżeli jest mokry, lepi się, ciasto potrzebuje jeszcze kilku minut. Test wykonuj na środku ciasta.

Gdy ciasto już się upiecze, rozprowadź na gorze kajmak i posyp orzechami.

Gotowe! Tak pysznego i szybkiego ciasta nie może zabraknąć wśród świątecznych potraw.

~ Pierniczki ~

Składniki na ciasto:

- mąka pszenna - 320g
- 3 łyżki miodu
- cukier - 170g
- półtorej łyżeczki sody oczyszczonej
- szczypta cynamonu
- szczypta imbiru
- masło - 30g
- 2 jajka
- mleko - 50 ml

Składniki na lukier:

- 1 cytryna
- cukier puder - 20g

Wykonanie:

Ciasteczka:

Wymieszaj cynamon i imbir z przesianą mąką na stolnicy. Dodawaj po kolei cukier, miód, jajka, sodę i masło. Podczas wyrabiania ciasta, stopniowo dodawaj ciepłe mleko. Ugniataj ciasto, aż stanie się gładkie, następnie wałkuj je partiami (grubość około 0,5 cm). Wytnij kształty swoich pierniczków i ułóż na blasze wyłożonej papierem do pieczenia. Na koniec posmaruj ciasteczka roztrzepanym jajkiem i włóż do nagrzanego piekarnika. Piecz przez 8 - 10 minut w temp. 180 st. C.

Lukier:

Wymieszaj cukier puder z sokiem z cytryny i utrzyj na bardzo gęstą, gładką masę. Upieczone pierniczki przed dekorowaniem należy przestudzić. Za pomocą pędzelka lub patyczka udekoruj ciasteczka według własnego uznania.

Gotowe! Piękne i aromatyczne pierniczki, których także nie może zabraknąć w świątecznym jadłospisie.

~ Sernik królewski ~

Składniki na ciasto:

- mąka pszenna - 240g
- 4 łyżki cukru pudru
- łyżeczka proszku do pieczenia
- półtora łyżki kakao
- masło - 160g
- jajko
- żółtko jajka
- łyżka wody

Składniki na masę serową:

- ser twarogowy - 1kg
- 3 łyżki budyniu śmietankowego
- cukier - 160g
- 4 jajka
- białko jajka
- jedna cytryna
- masło - 150g +

Wykonanie:

Ciasto:

Przesianą mąkę wymieszaj z cukrem pudrem, kakao i proszkiem do pieczenia. Stopniowo dodawaj masło, jajko, żółtko, wodę. Następnie zagniataj ciasto, aż stanie się gładkie. Podziel ciasto na dwie równe części. Jedną z nich zawiń w folię i włóż do zamrażarki na ok. 45 minut, a drugą wyłóż na blaszce (może być tortownica) wyłożonej papierem do pieczenia. Ciasto ponakłuwaj w kilku miejscach widelcem, a następnie podpiecz spód w nagrzanym piekarniku (180 stopni) przez ok. 20 minut. Po tym czasie odstaw ciasto na bok.

Masa serowa:

Roztop masło. Ser twarogowy zmiksuj z budyniem, cukrem, jajkami, białkiem i skórką startą z cytryny. Dodaj roztopione masło do ciasta i miksuj, dopóki wszystkie składniki się nie połączą. Masę rozłóż na podpieczonym spodzie. Z zamrażarki wyjmij pozostałe ciasto i starkuj je na górę masy, a następnie włóż sernik do nagrzanego piekarnika (180 st.) i piecz przez ok. 60 minut. Po wystudzeniu, ciasto można dodatkowo posypać cukrem pudrem.

Gotowe!

Oliwia Malińska

PRZEPIS NA GALARETKOWIEC – CZYLI CIASTO NA KAŻDĄ OKAZJĘ

Odkąd pamiętam, zawsze uwielbiałam pomagać mamie w kuchni, szczególnie przy pieczeniu ciast. Moim ulubionym ciastem jest tzw. galaretkowiec. Ten przepis na to ciasto różni się jednak od przepisów, które znajdziecie w internecie. Dlatego przedstawiam wam mój rodzinny przepis na przepyszne ciasto z galaretkami w pianie.

BISZKOPT:

- 6 jajek
- 1 szklanka cukru
- 1 szklanka mąki pszennej
- ½ szklanki mąki ziemniaczanej (opcjonalnie jeden budyń waniliowy albo śmietankowy w proszku)
- 3 łyżki octu
- 3 łyżeczki proszku do pieczenia

Białka mikserem ubijamy na sztywno z cukrem. Żółtka w osobnym naczyniu mieszamy z proszkiem do pieczenia i octem. Dodajemy do ubitych białek i mieszamy delikatnie łyżką. Dosypujemy przesianą mąkę (lub budyń) i mieszamy dokładnie. Wylewamy na blachę wyłożoną papierem do pieczenia. Pieczemy około 30 minut w temperaturze 180 stopni – zależnie od piekarnika (najlepiej grzałka góra-dół) – biszkopt ma urosnąć i się zarumienić. Ciasto studzimy i kroimy na dwa (lub więcej) placków. Układamy w blaszce górną część biszkopta (odwracając go “do góry nogami”). Na górę wykładamy masę i przykrywamy drugim biszkoptem.

MASA:

- 4 galaretki różnokolorowe

Najlepiej dzień wcześniej (wieczorem) rozrabiamy galaretki, każdy kolor w 1 szklance wrzącej wody. Studzimy, wstawiamy do lodówki na noc.

Kroimy galaretki w kosteczki. Rozsypujemy różnokolorowe galaretki na dolnej warstwie biszkopta, mieszamy i zalewamy tężejącą masą:

- 2 całe duże śmietany 12%
- 8 łyżek cukru zwykłego
- 2 saszetki cukru waniliowego (po 16g każda)

*M*ieszamy i dodajemy do tego:

- 1 szklankę mleka
- 1 saszetkę żelatyny (50g)

*P*odgrzewamy mleko (nie gotujemy), wsypujemy żelatynę i rozpuszczamy ją. Mieszając, dodajemy jeszcze ciepłe mleko do śmietany z cukrem i zalewamy masą galaretki na biszkopcie, wciąż mieszając. Przykrywamy drugą częścią biszkopta. Całość polewamy lukrem lub posypujemy cukrem pudrem.

LUKIER:

- 1 szklanka cukru pudru
- 1 łyżka śmietany
- sok z cytryny

*M*ieszamy i tak wykonanym lukrem smarujemy ciasto po wierzchu. Wstawiamy na noc do lodówki.

Upieczenie ciasta dla naszych bliskich to bardzo miły gest. Zachęcam was do tego, ponieważ warto spędzić czas z rodziną, przy pysznym kawałku biszkopta.

Dominika Jelonek

PAMIĘĆ CIERNI

Czasami wspomnienia są najgorszą formą tortury.

Przystojny czarnowłosy mężczyzna z charakterystycznymi złotymi oczami stał wpatrzony w napis na jednym z wielu kamiennych nagrobków. Z otuloną kołnierzem szyją obrócił głowę w stronę miasta, które rozciągało się tuż za cmentarnym murem. Powozy ślizgały się na śliskich od lodu drogach, a drobne śnieżynki nieustannie spadały na ziemię, tworząc wały białego puchu. Kłęby dymu z kominów unosiły się daleko poza wzrok Alexandra, ponieważ noszone przez silny wiatr wtapiały się w zimne i ciemne chmury. Modlitwy mieszkańców zostały wysłuchane, a oni dziękowali śmiechem za tak wspaniałą pogodę, idealną w dzień wigilii.

Mag westchnął, zdawszy sobie sprawę, że mimo usilnych starań, do dziś nie jest w stanie cieszyć się świętami. Ostatnie lata wiele zmieniły na Kontynencie. Chociaż w oddali wciąż majaczyło widmo wyniszczającej wojny, ludzie zaczęli odbudowywać kraj i uśmiechać się, jak dawniej.

Ponownie zwrócił swoją uwagę na zadbaną płytę, próbując odgonić dołujące myśli, lecz czytając wyryte słowa, czuł się przytłoczony jeszcze bardziej. Z nikłym uśmiechem zauważył stojące w całej alejce świece, okryte materiałową ochroną. Znak, że nie tylko on pamięta o wszystkich ofiarach ostatecznej bitwy.

Dopiero ciężkie posapywanie i głośnie szuranie butów na śniegu, które usłyszał gdzieś niedaleko, uświadomiło mu czyjąś obecność. Wyprostował się sztywno, ostrożnie chowając dłonie do kieszeni płaszcza, by zakryć wyróżniające się znaki.

- Proszę mi wybaczyć, ale co, u licha, robi pan tu w święta? Odkąd przeniosłem się z wiejskiego cmentarzyka, nie mogę się przyzwyczaić do miejskich zwyczajów - rzekł głos za jego plecami, a jego właściciel stanął tuż przy prawym boku czarnowłosego.

Wyższy spojrzał ukradkiem na przybysza, oceniając jego osobę. Nie dostrzegł żadnego zagrożenia, tylko zauważył charakterystyczne dla starszych i ciężko pracujących ludzi zmarszczki, siwe rzadkie włosy. Okrycie wierzchnie również nie wzbudzało podejrzeń, złożone ze znoszonych, lecz świeżych i wykrochmalonych ubrań, co świadczyło o skromności.

- Rozumiem zatem, że teraz to pan opiekuje się tym miejscem? - zadał pytanie mag, rozpoczynając rozmowę.

- Mój dziadek zmarł za młodu w czasie wojny. Od lat zgłębiałem wiedzę historyczną i teraz, jako kapłan, mogę podzielić się nią z innymi. Co tydzień w kaplicy modlimy się za spokój tych dusz - odpowiedział staruszek z sympatycznym uśmiechem.

Alexander musiał przyznać, że do końca życia będzie go dziwić szczerść ludzi. Mimo czasu, który kiedyś spędził wśród nich, wciąż nie mógł pojąć tej zwykłej życzliwości, tak powszechnej wśród nisko urodzonych mieszkańców.

- Jestem panu niezwykle wdzięczny za utrwalenie pamięci o poległych. Niech ich poświęcenie będzie przestrogą, ale też wzorem dla nowych pokoleń - odparł mężczyzna swobodniejszym tonem.

- Chociaż ciekawość nie zawsze jest moją dobrą cechą, ale jeśli pan pozwoli... - zaczął starszy, a widząc zachęcające spojrzenie nieznajomego, dokończył: - Dlaczego przystanął pan akurat tutaj? Zanim zdobyłem się na podejsście, obserwowałem cmentarz przez krótką chwilę. Ani na moment nie ruszył pan z tego miejsca.

Czarnowłosa ponownie spiął swoje mięśnie. Wypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu, by przeciągająca się cisza mogła otoczyć dwójkę rozmówców. Wzdychając, zmarszczył brwi.

Czy może wyjawić prawdę?

Zaimponowała mu historia kapłana i mowa o wojnie. Sam uważał, że w momencie, gdyby zapomniał o minionym terrorze, straciłby ważną część siebie. *Mamy święta*, upomniał się w duchu, *mogę mu podarować swoją tożsamość, chociażby za te piękne niegasnące świece*.

- Co roku zjawiam się jedynie tutaj. Jak zapewne pan wie, przed nami spoczywa najodważniejszy wojownik, jakiego zna historia. Czy, gdybym wyjawiał sekret, zatrzymałbyś go wyłącznie dla siebie, przyjacielu?

Ponownie już tego dnia, ciekawość przejęła kontrolę nad umysłem starszego, dlatego jedynie skinął głową, gotów usłyszeć każdą tajemnicę.

Alexander przyglądał mu się w milczeniu, by powtórzyć gest towarzysza. Dawno temu nie powierzył żadnemu człowiekowi czegoś tak ważnego, jednak nie chciał się wycofywać. Wyciągnął z kieszeni prawą dłoń i sięgnął nią daleko za kołnierz swojego wilgotnego już płaszcza, aż do szyi. Zdecydowanym ruchem zerwał znajdujący się tam łańcuszek, po czym wyciągnął rękę, by pokazać go starcowi.

- Proszę spojrzeć - rzekł nieobecny głosem. - Dostałem ten wisiołek na święta od mojego najdroższego przyjaciela, wiele lat temu. Gdy wpatrywałem się w symbol serca i wypowiadałem krótkie polecenie, ukazywał mi on barwy. Każdy kolor odpowiadał innej emocji. Dzięki temu mogłem wiedzieć, jakie uczucia żywi do mnie ważna osoba w danym momencie.

- ...jednak po wojnie przestał działać - dokończył drżącym tonem kapłan.

Obydwaj wpatrywali się w wyblakły symbol zbitego serca. Spojrzeli sobie ze zrozumieniem w oczy. Alexander zamknął dłoń, ponownie chowając ją do kieszeni. W tym samym czasie, starszy mężczyzna nie mógł wydobyć z siebie słowa, wpatrując się w niego z niedowierzaniem.

- To... to wielki zaszczyt - powiedział wreszcie opiekun cmentarza piskliwie. - Proszę wybaczyć, że pytałem o to miejsce, Wasza Wysokość.

- Od momentu wyjawienia tajemnicy stał się pan moim przyjacielem. Wystarczy po imieniu - odparł Alexander z nikłym uśmiechem. - Zanim odejdę, miałbym prośbę.

- Oczywiście, cokolwiek to będzie - zadeklarował gorąckowo staruszek z równie szerokimi oczami, co wcześniej.

- Podczas dzisiejszego kazania w kaplicy proszę pomodlić się za przyjaciół pańskich towarzyszy. Straciłem swoją bratnią duszę w młodym wieku i chociaż minęło okrągłe sto lat, to wciąż żałuję, że jej nie doceniłem. Niech podziękują za ich obecność, a gdy wrócą do swoich domów, niech im samym wyrażą tę wdzięczność - rzekł mag, by następnie włożyć w ręce kapłana mały aksamitny woreczek. - A to jest mój dar, na rozwój tego pięknego miejsca.

Mężczyzna potrafił jedynie poruszyć ustami, układając je w słowo "dziękuję". Jego oczy zasłzyły. Nigdy nawet nie marzył, by spotkać legendarnego króla sąsiedniego państwa. Tego, który uratował jego rodzinny kraj i odszedł, na zawsze odgradzając potężną magię od śmiertelnych ludzi.

Tego samego, którego bratnia dusza oddała życie za zwykłego człowieka.

Król Alexander wyminął go, ostatni raz zerkając na grób swojego brata. Z sentymentem przesunął wzrokiem po wyrytych słowach, które echem dudniły mu w głowie. Posmak goryczy i rosnącej guli w gardle na wspomnienie tragicznej śmierci siedemnastolatka, sprawiały mu trudność w oddychaniu.

Za rok znowu pojawi się na tym cmentarzu, tak samo jak przez następne sto lat. Nieśmiertelność magów, często uważana za cud, była tylko zmorą i ciągłą walką wewnętrzną.

Nie mogłem go uratować, pomyślał, ale pamięć o nim przetrwa w sercach ich wszystkich.

W ten wyjątkowy świąteczny dzień nie było miejsca na szczęście upadłego króla. Zgodnie z tradycją, ludzie dawali sobie prezenty, rozmawiali przy blasku i ciepłe kominka, śpiewali radosne pieśni. Jednak tym razem, niebo nie odpowiedziało. Gwiazdy przestały lśnić wesoło, razem z mężczyzną przypominały sobie dawną rozpacz i rozerwane serce.

Alexander zmusił się do odejścia sprzed nagrobka, a idąc aleją powtarzał w głowie jeden akapit zapisany w liście pożegnalnym jego bratniej duszy: "Ty jesteś moją planetą, centrum mojego świata. Ja natomiast byłem księżycem - tarczą, która stoi zawsze obok, nawet w ciemności".

Ostatnie słowo odbiło się echem w jego umyśle. I choć jego serce wciąż nie było gotowe, choć wciąż czekał na niemożliwe, poczuł nadzieję. Zniknął, zostawiając za sobą złamany, jednak podnoszący się świat ludzi.

Nina Bander





PIEŚŃ CZTERECH BRACI

ROZDZIAŁ I CZ.V



Ludzie, widząc makabryczny obraz powszechnej paniki, niezliczonych krzyków i lamentów, stojąc nieopodal ciała zmarłego Cesarza i płatając się po sali balowej ze świadomością, że wśród nich jest morderca, zamiast dalej być oszołomieni, zaczęli czuć się coraz bardziej oburzeni. Cała elita społeczna Imperium doznała prawdopodobnie największego rozczarowania w swoim życiu.

Zszokowana i improwizująca, pogrążona w marazmie, pełna strachu Rodzina Cesarska pozwalała się krytykować na oczach wszystkich zgromadzonych, którzy, obarczając ją coraz to poważniejszymi zarzutami, odbierali jej nie tylko wiarygodność, ale i kreowaną przez dziesiątki lat aurę niezrównanej siły i szacunku.

Ta oskarżająca, przerażona i histeryzująca Szlachta, swoim zachowaniem nieróżniąc się niczym od zwierząt chcących uciec z klatki, prezentowała się równie żałośnie. Wyglądali jak stado baranów walących łbami o stalowe kraty, byleby tylko się stąd wydostać. Na oczach setek ludzi umierał jakikolwiek mit o cywilizowanej, pełnej klasy i dostojności arystokracji.

Byli też rozsierdzeni Magnaci, z Rashirovami na czele, którzy najchętniej dokończyliby robotę spiskowców w najbardziej spektakularny i okrutny sposób, o ile sami nimi tak naprawdę nie są.

Cała śmietanka najpotężniejszego państwa na świecie przypominała teraz marną imitację jednej z atrakcji w zoo. A najlepsze, i zarazem najgorsze, w tym wszystkim było to, że aby doznać rozczarowania z powodu ludzkich słabości, wystarczyło spojrzeć w lustro. Wszyscy zdali sobie sprawę w głębi serca, że są tymi samymi, równie przerażonymi i prostymi ludźmi. Jedyne, co teraz trzymało Patrisa i Maksymiliana przy życiu, to kolumna żołnierzy oddzielających ich od tłumu. Jednak władza budowana na samej sile jest niezwykle krucha, gdyż niewiele osób ją szanuje.

Oskarżeniom zaś był ciąg dalszy. Jakby tego było mało, zaczęła się do nich dołączać reszta arystokracji. Niektórzy zaczęli oskarżać Generałów o przeprowadzenie spisku. Ci poczulili się oburzeni, co szybko przerodziło się w bójkę. I nią by się skończyło, gdyby nie strzały ostrzegawcze dopiero co przybyłej na miejsce zdarzenia brygady muszkieterów.

Inni poszli o krok dalej i za przyczynę morderstwa podali obniżkę ceł na sprowadzane od sąsiadów z południa ryby. Zabójstwa miałyby dokonać rodzina Filendorfów, których majątek w dużej mierze opiera się na portach i zyskach z połowu. Posiadali nawet własną, niewielką flotę wojenną. Obniżka ceł poskutkowała spadkiem cen ryb i utratą dużych dochodów w tejże rodzinie. Jednak warto wspomnieć, że oskarżenie to wysunął ich "dobry" sąsiad, głowa rodu Nowackich, Artur Nowacki, który szczerze ich nienawidził i zazdrościł im majątku, choć sam wcale nie wiódł skromnego życia w swoim pałacyku. Najwidoczniej unosząca się w powietrzu paranoja była okazją dla niektórych do pozbycia się sąsiada, rzucając przy tym oskarżeniami na oślep.

- Rodzina von Prunierów też nie jest czysta. - stwierdził Maksymilian, który również brał czynny udział w zwalaniu winy na którykolwiek znajdujący się na sali ród szlachecki. - Kheil mógłby

zabić Napoleona, nie wierząc już w jego skuteczność i kompetencje przywódcze. W końcu Cesarz odrzucił wiele jego projektów „poprawy” państwa.

- Bądź co bądź ma to sens - rzekł Ojciec Maćka, Hubert, nie wierząc w winę rodziny cesarskiej

- Wiele razy narzekałeś, że Napoleon stracił ikrę i już nie chce pracować na rzecz państwa.

- Ale to nie powód, aby kogoś zabijać! - odparł Kheil.

- Jak dla kogo. Dla ciebie mógłby być. - upierał się Maksymilian.

- Ha! - krzyknął Sebastian, niedowierzając w to, co słyszy. - Naprawdę sądzicie, że mój Tata aż tak bardzo starałby się zabić starego już przywódcę Imperium? W dodatku przyjaciela, z którym wspólnie walczył? Jakby chciał, zrobiłby to bardziej wyrafinowanie, niszcząc całą rodzinę cesarską.

- Dzięki, stary... - mruknął pod nosem coraz bardziej rozchwyany emocjonalnie Patris.

- Może liczył, że po śmierci Napoleona władzę przejąłby Vincent, z którym mógłby nawiązać współpracę i zrealizować jego projekty - kontynuował Maksymilian. - Może liczył, że nowe, rewolucyjne plany, których nie udało mu się wdrożyć tuż po obaleniu Starego Króla, zostaną teraz zaakceptowane przez nowego, mniej roztropnego władcę.

- O jakich projektach ty mówisz? - zapytał zaintrygowany Hrabia Goldfird.

- Już zapomniałeś?! Ustanowienie płacy minimalnej dla chłopów w wysokości 20 imperiałów na tydzień, aby poprawić niby ich stan materialny i jakość życia...

Tyle wystarczyło powiedzieć, aby na sali podniosła się wrzawa szlachty: „Co ty sobie myślisz?”, „Ograniczasz gospodarkę i naszą wolność szlachecką, von Prunier!”. Większość zaczęła ujadać Kheilowi. Na to liczył Maksymilian, chcąc wywołać wśród ludzi temat zastępczy i rzucić z siebie oskarżenia, w międzyczasie obmyślając następne posunięcie.

- Bracio szlachecka! - krzyknął nagle powszechnie szanowany Markiz Aleksiej Esfert, Marszałek parlamentu. - Musimy ustabilizować Imperium, a dopiero potem zastanawiać się, kto stoi za tym strasznym czynem! Musimy ustanowić nowego Cesarza! - rzekł dumnie i donośnie.

Wtedy głosy się podzieliły. Część poparła Markiza, a część go wręcz zwyzwiała. Wszyscy jednak zgodnie zażądali wypuszczenia ich z sali balowej i powrotu do domu.

Patris zaś kazał pojechać Vincentowi po „ich broń” i korpus wojska ze stolicy, aby lepiej zabezpieczyć teren. Oczywiście po cichu. Stolica była niedaleko, więc powinien się szybko uwinąć.

Wszyscy na sali krzyczeli, próbując zagłuszyć oskarżenia przeciwnej strony, aby ich własne były lepiej słyszalne. „To Gildia Asasynów i Rashirovowie!” - krzyczeli jedni. „To ci rewolucjoniści i reformatorzy! Prunierzy! Chcą zrealizować swoje idee w bestialski sposób!” - huczeli drudzy. „To spisek rodziny cesarskiej!” - wyli trzeci. Padały też propozycje zamachowców z innych krajów, bądź spisku kościoła katolickiego i papieża... Też była taka opcja. Dowodów nie było żadnych i każdy wierzył, w to co chciał. Podział na grupy był nieunikniony. Po chwili doszło do kolejnych drobnych bujek. Winy tego można się doszukiwać we wrażliwej szlacheckiej dumie oraz dmuchanym przez setki lat tradycji ego. Maksymilian uśmiechnął się szyderczo, wiedząc, że w imię zasady „dziel i rządź”, ma on teraz spokój i bez pośpiechu może obmyślić plan opanowania sytuacji, którą to sam jeszcze bardziej zdestabilizował. Usprawiedliwił to sobie w głowie: „To tylko jeden krok do tyłu, który umożliwi dwa do przodu”.

Mimo to szlachta, mając jeden wspólny cel, czyli wydostać się stąd jak najszybciej, naciskała na Maksymiliana w każdej wolnej od sprzeczek chwili. Był on jednak nieustępliwy. Wówczas ludzie zaczęli napierać na linię wojska. Maksymilian wydał rozkaz: - Prezentuj broń! - po czym żołnierze ponownie skierowali broń i odgradzili tłum, raniąc przy tym kilku ludzi.

Wtedy Sebastian krzyknął przerażony:

- Maksymilian, skończ to!
 - Uwierz, że też tego nie chcę - odparł chłodno z dość obojętnym wyrazem twarzy.
 - Powiedziałem, skończ! - odparł Sebastian, po czym złapał za nóż stołowy. Maksymilian parsknął śmiechem.
 - Nawet nie próbuj! - wtrącił się Patris kierując, swój pistolet w Sebastiana. - Co zrobisz z tym nożykiem do mięsa? - pytał cynicznym tonem, decydując się na drobny uśmiech ironii.
 - Et tu brute contra me? - zapytał rozzaczarowany Sebastian.
 - To ty sprzedałeś mnie pierwszy... - odparł Patris, gasząc swój chwilowy uśmiech.
 - I ty doprawdy sądzisz, że trafisz mnie tym prochowym pistoletem? Wiesz, że jest to cholernie niecelne? - powiedział pewny siebie.
 - Można iść o zakład, ale z naszej dwójki to ty jesteś typem hazardzisty... - odparł spokojnie - Traktuj to bardziej jako straszak. Uwierz, że też tego nie chcę, ale trzeba zaprowadzić porządek. Choćby i siłą! - dodał zdecydowanie.
 - Nie tak buduje się władzę! - odparł Sebastian. Rozczarowanie zaczęło kroić jego serce na coraz to mniejsze kawałki, aż sam zaczął odczuwać ból w klatce piersiowej.
 - Zobaczymy... - odparł oziębło, będąc pewnym, że ma bezwzględna rację. - Porównujesz mnie do brutusa, lecz sam równie dobrze możesz być zdrajcą - dodał oschle.
 - Doprawdy w to wierzysz?! Jesteśmy przyjaciółmi! Znamy się od dziesiątek lat... - powiedział bardziej zasmucony tym oskarżeniem niż wzburzony -To bez sensu!
 - Nie wszystko, co logiczne, jest prawdziwe, a nie wszystko, co nielogiczne fałszywe. Nie chcę wykluczać żadnej opcji. Choć będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, jeśli to nie będzie prawda... w co chcę wierzyć...
- Wtedy Alisa wyrwała nóż z ręki Sebastiana i podbiegła do kolumny wojska. Rozpędzona prześlizgnęła się pod halabardami żołnierzy i pomiędzy ich nogami. Na jej szczęście nie byli oni gęsto rozstawieni. Będąc za kolumną, złapała Patrisa i przystawiła mu nóż do gardła.
- Co?! Jak... - mruknął zszokowany Patris, po czym po chwili uśmiechnął się w jej stronę- Zaslugujesz na pracę w oddziałach specjalnych bardziej, niż ktokolwiek inny... - stwierdził, promieniując cynicznym uśmieszkiem z nożem przy szyi. - Przerastasz oczekiwania wszystkich... Dobrze, że mianowałem cię dowódcą... - mówił do niej opanowany.
 - Skończ mi schlebiać i rzuć broń - powiedziała równie spokojnym głosem. Ale wtedy poczuła przystawioną lufę jego pistoletu do swojego brzucha.
 - Wiesz Alisa... ty zaś z tych wszystkim jesteś najbardziej ewidentną zdrajczynią... Nie po to ci mówiłem o tym wszystkim, abyś to wykorzystała przeciwko mnie wraz z Sebastianem. Chciałem ci sprawić ulgę, a ty mnie tak traktujesz? Niewdzięczna... - mówił z żalem w głosie.
 - Zamknij się, jeżeli nie chcesz rozlewu krwi. Wypuść ludzi! - krzyknął do niego Sebastian.
 - A co jeśli tego pragnie? - zasugerował Kuba. - Już raz to zrobił! I to na mnie!
 - Szlag by was... - wymamrotał pod nosem Patris. - Nie z wami rozmawiam! Czy doprawdy nie rozumiecie powagi sytuacji?! Morderca jest wśród nas, a ja mam go wypuścić?! Tego chcecie?! - krzyknął wkurzony i zmęczony ciągłym udowadnianiem swoich racji i decyzji.
 - Patris... każ wypuścić wszystkich. Obiecuję, znajdę winnego... - upierał się Sebastian.
 - A co jeśli stoi przede mną i kłamie mi w żywe oczy?! - odparł, posyłając Sebastianowi nienawistne spojrzenie.
 - Ty i Maksymilian kłamię i wygląda na to, że nieobce są wam intrygi. Oskarżacie nas o spisek na Napoleona, a sami bawicie się za kulisami! - krzyknął Fabian, dostrzegając hipokryzję kręgów władzy.
 - I kto tu kłamie w żywe oczy... - mruknął Sebastian.
 - Panowie...spokojniej.... - starał się ich uspokoić Maciek, lecz nieskutecznie.

- Morderca! - krzyknął wściekły Fabian.

- Zawsze lubiłem negocjować tylko z tymi, którzy mają realną władzę - rzekł Patris do Alisy, przystawiając jej mocniej pistolet - Mimo że blefujesz. W końcu zbyt mnie lubisz, aby rozciąć mi gardło - powiedział uśmiechając się do niej.

- Ty zaś mnie zbyt lubisz, aby mnie postrzelić - odparła Alisa z kamienną twarzą.

- Też prawda... - szepnął, po czym upuścił pistolet. Temu obrazowi przypatrywała się przerażona i trzęsąca się Elizabeth.

- Patris pewnie sam zabił własnego Ojca! - krzyczał dalej Fabian.

Wtedy w Patrisie coś pękło. Będąc pewnym, że Alisa nic mu nie zrobi, kopnął ją lekko i gdy upadła, wyrwał jej nóż z ręki. Patris podniósł pistolet i wycelował w Fabiana.

- Odszczekaj to! - krzyknął wściekły z rzedzą mordy w oczach.

- Bo co? Zabijesz mnie, morderco?! - warknął, wiedząc przy okazji, że jeśli Patris strzeli, to wyjdzie na jego. Udowodni, że jest mordercą.

- Możliwe... I tak, przyznaję się. Zlikwidowałem wrogów imperium w Karelii. Nie moja wina, że byli podlegli tobie - powiedział, ubierając to wszystko w ładne słowa.

- Pięknie to ująłeś... „Wrogów Imperium” - wtrącił się Kheil - Jako ciekawostkę powiem, że Złotousty to jedno z imion diabła.

- Zamilcz! Sprawa Karelii nie ma związku z moim Ojcem! - starał bronić się Patris.

- Wręcz przeciwnie, to praktycznie ta sama sprawa - odparł Kheil. Patris, nie mogąc zrozumieć tych słów, zamilkł, wpatrując się z konsternacją.

Sebastian, widząc upadającą Alisę, poczuł nagły przyptyk gniewu i energii, mimo że de facto nic się jej nie stało. Jednak, jako iż był człowiekiem zawsze trzeźwo myślącym, opracował plan.

- Tato, pomóż mi. Rób to, co ja. Fabian i Kuba, wy też! - powiedział spokojnym, lecz pochmurnym głosem, tłumiąc w sobie wściekłość. We czwórkę złapali za jeden ze stołów, podnieśli go i obrócili blatem w stronę halabard.

- Wy chyba nie... Ani się ważcie! - krzyczał Patris celując do nich z broni. Gdy cała czwórka była za blatem, Sebastian krzyknął: - Teraz! - Wtedy wzięli rozbieg prosto na kolumnę żołnierzy, zasłaniając się stołem przed ostrzami broni.

- Draniu!... - krzyczał biegnący Kuba.

Przerażony Patris w końcu wypalił z pistoletu. Kula przebiła się przez stół i zraniła Kheila w nogę. Kheil upadł w towarzystwie setek latający wokół niego drewnianych odłamków.

- Tato! - krzyknął wzorem Patrisa, tym razem Sebastian. Z tym samym tonem, z tymi samymi emocjami.

Mimo tego biegli dalej, gdyż byli już centymetry od ostrzy halabard. Nie zdążyli się zatrzymać. Halabardy wbiły się w drewniany stół i odepchnęły żołnierzy, jednakże wbrew temu, co zakładał plan Sebastiana, samo zderzenie nie powaliło muru rycerzy. Sebastian puścił nogę stołu i pobiegł do ranego Ojca. Fabian i Kuba i tak chcieli się przedrzeć, lecz żołnierze stojący obok, w których stół nie trafił, podeszli do nich i próbowali ich uderzyć drewnianym trzonem swoich halabard. Kuba i Fabian, jako sprawni wojownicy, odskoczyli od uderzenia, upuszczając stół i wycofując się ze swoich pozycji. Żołnierze szybko przeorganizowali się i utrzymali formację. Jakub i Fabian znów byli bezradni.

- Tato... Nic ci nie jest? - pytał przestraszony Sebastian.

- To nic... Zatamuj krwotok - rzekł spokojnie, zachowując trzeźwość.

- Dobrze... Dobrze... - odpowiadał niespokojnie, zdejmując swój frak i robiąc z niego prowizoryczny opatrunek. Doświadczenie z wojska okazało się niezwykle przydatne również poza nim.

- No i co żeś zrobił?! - krzyknął Fabian.

- Ja... ja nie chciałem... - odparł cichym głosem, równie przerażony Patris. - To wyście zaczęli szarżę! To nie moja wina!

- Nawet kobietę odważyłeś się uderzyć! - krzyknął ponownie. Wszyscy zaczęli buczeć na Patrisa.

- Wypuść nas! - krzyknął Kuba.

- Czego wy nie rozumiecie... Nie mogę was... - mówił Patris, dopóki leżąca na podłodze Alisa nie podcięła mu nóg, przerywając jego słowa. Patris upadł, a Alisa błyskawicznie wstała i postawiła swoją nogę na jego szyi.

- Patris! - krzyknęła blada Elizabeth.

Wcześniej zszokowani żołnierze z muszkietami, tym razem szybko otoczyli Alisę. Niestety ciut za późno. Nikt nie miał odwagi strzelić, ani zrobić kroku, bojąc się o życie księcia.

- Specjalnie leżałaś i czekałaś, aż stracę czujność... - powiedział Patris do Alisy. - Znam trochę twoje metody... Wspólne przygody łączą ludzi... - mówił ochrypłym głosem, z jej stopą na gardle. Był pełen podziwu wobec umiejętności Alisy, gdyż zawsze sam chciał takie posiąść.

- Wiele się zmieniło od czasu wojny - odparła chłodno Alisa.

- Ale chyba wciąż jesteś tą samą zabójczynią... Jak ja... tak w głębi duszy... - rzekł bardziej posępnie, wciąż ochrypłym głosem.

- Już nie. Ludzie się zmieniają - mówiła spokojnie, tracąc jednak czujność.

- To prawda... Przyjaciół zawsze potrafi stać się wrogiem... - jęknął cichszym głosem.

- Aliso! - krzyknął mężczyzna obok. Był nim Vincent. - Odsuń się od niego.

- Vincent... Miło, że wróciłeś... - mówił Patris z pochmurną twarzą, pełen ironii.

- Ta... I wziąłem moją broń - powiedział, wyciągając zza pleców swój sławny, magiczny miecz, Durandal, który, jak na oręż o ogromnych rozmiarach, był zaskakująco lekki. Durandal był określany przez wszystkich „Boskim Ostrzem”. Długi na półtora metra zawierał w sobie magiczną moc, jak każdy Edge, lecz jego wyjątkowość polegała na niesamowitej sile skrywanej w sobie energii, która jest nieskutecznie badana od setek pokoleń odkąd tylko ze świata zniknęli znający ją starożytni magowie.

- Pamiętasz ten miecz i jego umiejętności, prawda, Aliso? - rzekł Vincent lodowatym głosem, marszcząc brwi.

- Pomimo upływu ponad 15 lat, nie da się zapomnieć masakry na ludziach, jaką nim robiłeś... - odparła Alisa mrocznym tonem. - Nie zostawię twoje braciszka, wybacz. Jest naszą przepustką w negocjacjach z wami - wtedy Patris się zaśmiał cicho, jakby mu to nie przeszkadzało. Część gapiów uznała, że do końca postradał zmysły.

- Czy postradał już rozum? - zapytał sam siebie Maciek, widząc leżącego Patrisa - A może śmieje się, bo sam już nie dowierza w to, co się dzieje, jak ja...

Wtedy Vincent skierował swój miecz w stronę Alisy. Magiczna wiązka światła, która się z niego wydobyła, uderzyła ją i odrzuciła na jakieś dziesięć metrów od leżącego Patrisa.

- Ze starożytną magią nie ma żartów... - wyszeptał Vincent, wstając z podłogi. - Akurat ty powinnaś o tym dobrze wiedzieć, Aliso. Sama się nią przecież posługujesz - wtedy podbiegł szybko do Patrisa - Nic ci nie jest? - zapytał brata.

- Żyję... - mruknął ochrypłym głosem - Zgłupiałeś?! Przekonałbym ją - zgał go Patris.

- Albo by cię udusiła - odparł Arcyksiążę, podając mu rękę, aby wstał.

- Patris! - krzyknęła Elizabeth, rzucając się na niego i obejmując go uściskiem. - Tak się cieszę, że nic ci nie jest.

- Niepotrzebnie się martwisz... Elizabeth... Wszystko dobrze...- rzekł, chcąc ją uspokoić, mimo, iż była to kompletna bzdura. - Zabierz dzieci do pałacu - dodał dość ciepłym głosem, odwzajemniając uścisk.

- Zamierzasz tu zostać? Po co? - pytała zdziwiona.

- Muszę im pomóc. To mój obowiązek - odparł niezbyt zadowolony z tego faktu.

- Mnie też masz od pomocy. Od tego zawsze mieliśmy siebie nawzajem... - mówiła zatroskana.

- Jednak teraz musisz inaczej mi pomóc. Idź. Wyśpij się. Weź też matkę i Suzanne, jeśli zechce.

- Ja zostaję - wtrąciła się Suzanne.

- Od kiedy cię obchodzą takie sprawy? - zapytał zdziwiony Patris. - Przeważnie leżysz do góry brzuchem i niczym się nie przejmujesz.

- Chyba przyznasz mi rację, gdy powiem, że to niecodzienna i ważna sprawa, czyż nie, braciszku? - wtedy Patris popatrzył się na nią chwilę ze zmieszaną miną.

- Zgoda... - odparł zmieszanym tonem.

- Trzymaj się, najdroższy - rzekła ukochana Patrisa, przytulając go i odchodząc.

Od tego momentu Suzanne nie odstępowała od swojego młodszego brata.

Sebastian pobiegł szybko do odrzuconej aż za linię strażników Alisy. Była nieprzytomna, mocno oberwała. Z magią nie ma żartów. To brutalna broń. Brutalniejsza niż ludzie jej używających. Uderzył ją strumień światła tak szybki, że aż niemożliwy do uniknięcia. Na szczęście nie zrobił jej krzywdy. Vincent specjalnie wysłał taką wiązkę energii, aby jej nie zabiła. Mimo to tym razem i Sebastian krzyknął do Patrisa: - Draniu!

Patryk Sanocki



SPEKTATOR

Nigdy nie dałam się ponieść własnym nogom. Zaufać swojej ciekawości. Powierzyć się przygodzie. Raczej podążałam od punktu do punktu robiąc to, co do mnie należy. I to było w porządku. Nie odczuwałam potrzeby, aby było inaczej, a przynajmniej aż do wtorku.

Wtorek był dniem deszczowym. Takim, w którym najchętniej zostałoby się w domu pod kocikiem rozkoszując się ciepłymi skarpetkami i brakiem wyrzutów sumienia, że może lepiej byłoby gdzieś wyjść. No bo gdzie iść w taką pogodę? Nie ma presji, nie ma gnębiących w zapętleniu myśli. Sytuacja idealna. A jednak moje losy potoczyły się tak, że skończyłam stojąc na zewnątrz z kroplami deszczu kapiącymi z moich włosów i nawet z czubka nosa. *Psia kość, trochę nieprzyjemnie*. Zmarznięta spoglądałam na świat tkwiący w jesieni. I jakoś tak mi było smutno, że utknął tam, gdzie utknął. W tym roku nawet kolorowe liście wyglądały smętnie. Tak jakby wreszcie zrozumiały, że odkrywając swoje ukryte barwy, zwiastowały swój rychły koniec. Smuciłam się razem z nimi, a może to one smuciły się wraz ze mną.

Mimo to, moja droga nie była znowu taka najgorsza. Chodnik błyszczał w deszczowych fajerwerkach. Był zupełnie pusty. Pewnie wszyscy normalni ludzie zostali w domu myśląc w duchu „gdzie iść w taką pogodę?!”. Szczęśliwcy. Mogli posiedzieć sobie w ciepłku. Jeden taki szczęściarz, w postaci rudego kota, przyglądał mi się z parterowego okna. Dzieliła nas zadziwiająco niewielka odległość. Jednak on był tam, a ja byłam w miejscu, które można by określić jako „tu”. Ten pozornie mały dystans wydawał się być wówczas ogromny. Odczuwając to samo, lub też nie, malec ziewnął rozkosznie, a ja podreptałam dalej. Było mi trochę niewygodnie. W jednej dłoni trzymałam parasol. Pod prawą pachą trzymając torbę. Popękane ręce zaczęły mi drętwieć od zimna. Przyspieszyłam więc trochę swoje kroki coraz zręczniejsz omijając kałuże. Bezcelowo, bowiem w moich przemokniętych butach już zdążyło powstać małe jezioro.

Gdzieś pomiędzy wymamrotanym przekleństwem a ciężkim sapnięciem postanowił zadzwonić do mnie telefon. Beznamiętny dźwięk dzwonka był istną napaścią na moje nerwy. Ta muzyka nie była ani naturalna, ani przyjazna. Zawsze powtarzałam sobie, że następnym razem, gdzieś w przyszłości, na pewno ją zmienię, ale ciąg następnych razów zdawał się być nieskończony. Zwyczajnie nie było ku temu sposobności. W połączeniu z deszczem, chłodem oraz wszystkimi niedogodnościami świata bardzo mnie to rozżłościło. Gwałtownie sięgnęłam po telefon i wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Upadłam na środku przejścia dla pieszych. Zdezorientowana musiałam dojść do siebie. Zamrugałam szybko z dobre cztery razy. Obejrzałam się wokół, aby upewnić się, czy przypadkiem nikt tego nie widział. Owszem, ktoś zobaczył. W moją stronę spoglądało kilka par wielkich, zaintrygowanych oczu. No cóż, ważne, że nic złego się nie stało. Środek jezdni nie jest przecież dobrym miejscem do robienia fikołków.

Wydawało mi się, że podniosłam się niemalże równie szybko, jak upadłam. Otrzeptałam z siebie delikatny ból i czym prędzej przeniosłam się w stronę krawężnika. Z lekkim zażenowaniem stwierdziłam, że istotnie trzeba być udanym, by samemu z siebie przewrócić się na środku jezdni. Pogratulowałam sobie w duchu szczególnego talentu, a następnie dość w lekkim szoku zdałam sobie sprawę, że zupełnie zapomniałam, dokąd wcześniej zmierzałam. Zakupy, a może pogaduchy... zupełnie nie wiedziałam. Dolegały mi już nie tylko zaburzenia równowagi, ale także zaburzenia pamięci. I wtedy właśnie coś mnie tknęło. Skoro mój wcześniejszy cel usunął się w otchłań zapomnienia, musiałam obrać inny. Jak mi się zdawało, tym razem drogę obrać miało moje przecucie. To był ten moment, w którym miałam dać się ponieść.

Skręciłam więc w prawo i bardzo mi się to podobało. Potem mogłam pójść w lewo i przez długi czas iść prosto. Sytuacja zaczęła mi się podobać coraz bardziej. Nie kojarzyłam przekraczanych przez siebie ulic, a im bardziej nie wiedziałam, co jest grane, tym bardziej mi to pasowało. Miło tak się lekko zagubić mając całkowitą pewność, że zaraz się odnajdzie. Jakby nie patrzeć byłam w swoim mieście. W nim wszystkie drogi prowadziły do wszystkich dróg. Można by więc powiedzieć, że ten mój mały akt szaleństwa, zupełnie szalony nie był. Dla mnie mimo to był całkiem wyjątkowy. Czułam pełną swobodę.

Deszcz całował moją twarz, może tylko dlatego, że wszyscy inni próbowali przed nim uciec. Prawda, było mi przeraźliwie zimno. Owszem, na swoim koncie miałam całkiem nieprzyjemną sytuację. W istocie, wyglądałam w tamtym momencie umiarkowanie okropnie, jak coś pomiędzy strachem na wróble, a bardzo przestraszonym wróblem. W ogólnym rozrachunku jednak było mi całkiem miło.

Moje nogi tupały, a delikatny i nieco złośliwy wietrzyk dmuchał mi włosy na twarz. Gdy natomiast ja chciałam je zdmuchnąć i przy okazji się zrewanżować, wszelkie próby okazywały się bezowocne. Typowe. Gwałtownie zarzuciłam głowę do tyłu, a nagłą zmianę ciśnienia poczułam aż w oczach. I nagle zauważyłam, że przede mną stał już odrobinę przeżarty przez czas budynek z szyldem „Kino”. *To dziwne*, jak mogłam spędzić całe swe życie w jednym mieście i nie wiedzieć, że jest w nim takie miejsce. Nie zapowiadało się też, żebym miała kiedykolwiek udać się do niego na seans, gdyż okna zabite były deskami, a po plakatach filmowych zostały tylko trzymające się na resztkach mocnego kleju kolorowe skrawki. Zrobiło mi się trochę przykro. To miejsce musiało być świadkiem wielu ludzkich stanów. Od łez wzruszenia, niespodziewanych wybuchów szczerego śmiechu, po oniemienie z zaskoczenia i podziwu. Szkoda, by po tym wszystkim została tylko warstewka kurzu.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, ze środka wyszedł jakiś chłopak i postawił na ulicy tabliczkę z napisem „Już dzisiaj o 18.00 premiera”. Zerknęłam na zegarek i zdałam sobie sprawę, że to już za kilka minut. Mogło zadziwić mnie to, że informacja o seansie pojawiła się na tak krótko przed jego rozpoczęciem. Mógł zastanowić mnie także fakt, że wcale nie wiedziałam, co będzie wystawiane. Ja jednak byłam pozbawiona wszelkich wątpliwości, zupełnie jakby ktoś wyłączył mi krytyczne myślenie. Postanowiłam pozwolić sobie na bycie spontaniczną i skorzystać z tej rodzącej się przede mną okazji.

Ciekawy był moment, w którym podchodząc do kasy zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć. Zacięłam się w środku zdania, a ten sam młodzieniec od tabliczki uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo podając mi w dłoń błękitny, przeceniony bilet. Tego dnia grali tylko jeden seans, swój ostatni przed ostatecznym zamknięciem.

Zasiadłam wygodnie w fotelu zastanawiając się, co też przyjdzie mi zobaczyć. Rozejrzałam się po sali, a wokół nie było żywej duszy. W ten oto sposób to miejsce zakańczyło swoją historię – z jednym przypadkowym widzem. Dziękowałam w duchu, że przyszło mi się tutaj znaleźć. Pusta sala byłaby bardzo smutna. Zakończenia powinny być tak wyjątkowe, że będąc w ich trakcie człowiek myśli sobie „*Co za wielka szkoda*”. Natomiast, patrząc po świecących pustkami siedzeniach można by pomyśleć „*Nic też dziwnego, że się kończy*”. Nie chciałam, żeby tak było, więc postanowiłam swoją skromną osobą przeżyć to wydarzenie, jakbym była setką osób. To dosyć śmiałe, ale zawsze czułam, że kumuluję w sobie tak wiele uczuć, że nie potrafię ich sensownie spożytkować. Zazwyczaj gnieździły się gdzieś w mojej klatce piersiowej, swym ciężarem wbijając mnie powoli w ziemię. Tamtego dnia chciałam przemienić je w zachwyt i wzruszenie oraz w brawa o zadziwiająco wysokiej liczbie decybeli. To byłoby całkiem dobre ich spożytkowanie.

Nim film się zaczął odczuwałam wewnętrzne przecucie, że mnie poruszy. Gdy zobaczyłam na ekranie szereg krzywych zębów otulonych w próchnicę miesięcy zaniedbań, zaczęłam się jednak zastanawiać, czy seans w ciemno był do końca mądrym pomysłem. Reżyser postanowił rozpocząć swój film od zbliżenia na gardło małej dziewczynki, co wydało mi się całkiem śmiałym posunięciem. Jedząc nielegalnie słodką watę cukrową machała do kamery radośnie. Podobał jej się fakt bycia nagrywaną. W oddali szumiało morze, gdzieś w jej pobliżu darły się też mewy. Promienie słońca wymalowały na jej twarzy szeroki uśmiech, a w sercu wybudowały małą ciepłownię. Była w raj. Otaczały ją przezabawne i przedziwne fale, w dłoniach trzymała najpyszniejszy i najbardziej rozpluwający się w ustach pokarm, a wszystko to pod okiem dwojga dorosłych ludzi, którzy kochali ją bardziej niż własne życie.

Marzyła o prostych rzeczach. Chciała najnowszej lalki. Tej, która miała różowe włosy, magiczną sukienkę i obrotowe stawy. To były podstawowe funkcje, nic przecież znowu takiego wymyślnego. Pragnęła mieć też psa. Takiego do głaskania, dokarmiania, ale w gruncie rzeczy do kochania.

W swojej głowie układała plan, jak ratuje go z opresji, gdzieś spomiędzy smutków świata, i zaprowadza w jego życiu spokój i miłość. Zostałaby wówczas bohaterką małej kudłatej istotki, a to znaczyłoby wiele. Marzyła, by w przyszłości być wielką pod wieloma względami. Przyszłość w swojej wielkości wydawała się być czymś niesamowitym, przepełnionym wspaniałościami. Jasnym było, że najprawdopodobniej zostanie księżniczką albo astronautką. Ewentualnie obiema na raz w zależności od nastroju.

Jednak los chciał odrobinę inaczej. Wyimaginowana korona została rozmazana przez czas. Im więcej piasku przesypywało się przez klepsydre, tym mniej łaskawy zdawał się być świat. Marzenia przychodziły i odchodziły. Wszystko szło do przodu. Nawet znaczenie „zawsze” uległo skurczeniu, gdy okazało się, że więzi „na zawsze” jednak czasem też się kończą. A było to takie dziwne... Tak bardzo rozczarowujące... Ludzie wokół nazywali ten proces dorastaniem, podczas gdy moja mała bohaterka czuła, że rozpada się na coraz mniejsze kawałeczki. I być może o to chodziło. Może to właśnie miała zaakceptować. Fakt, że jest układanką, którą zburzą wydarzenia, aż zostanie samotnym puzzlem, zaledwie ułamkiem wielkiej i majestatycznej nigdyś układanki.

W rzeczywistości było trochę inaczej. Choć czasem faktycznie następował rozpad, były dni, podczas których powoli wracała do dawnej, utęsknionej całości. Tak jak wtedy, gdy śpiewała stare piosenki podczas rodzinnego ogniska, albo gdy w szkole śmiała się tak bardzo, że skończyła na ziemi rechocząc jak głupek. Szczęśliwy, kompletny głupek. Wraz z biegiem oglądania, tych pozytywnych obrazów było więcej i więcej. Pierwsza jazda na łyżwach. Unoszenie się na wodzie w upalne letnie popołudnie. Bożonarodzeniowy makowiec babci konsumowany w fotelu dziadka z poczuciem bezgranicznej miłości. To były przypominające mgnienia doznania zakłęte w poruszających ujęciach. Oglądając je czułam, jakbym robiła coś zakazanego. Jakbym oglądała czyjąś nagą duszę dokładnie rozumiejąc jej najskrytsze sekrety i uczucia.

Lecz nagle szybko zmieniające się kadry filmu postanowiły uparcie zwolnić gdzieś w dorosłym życiu, dokładnie w jakimś zabieganym poranku. Twarz z ekranu nie należała już do dziewczynki, ale do dorosłej kobiety. Nie przypominała uwiecznionej na starym, dzieciennym rysunku wymarzonej wizji przyszłej siebie, oj nie. Orli piegowaty nos z biegiem lat uparcie pozostał orlim piegowatym nosem. Widniejąca koło oka blizna po ospie stwierdziła, że nigdy się nie zmniejszy. Włosy (wbrew temu, jak można by przypuszczać) wcale nie zyskały kolorowych pasemek, choć wreszcie mogłoby to zostać bezkarnie uczynione. Wiele rzeczy pozostało więc zaskakująco i nieco rozczarowująco niezmiennych. Twarz ta jednak należała już do zupełnie innej osoby i to się czuło. To się od razu widziało. Największym paradoksem były oczy. Wokół tej wyjątkowej bursztynowej toni, widać było wyraźne ślady wszystkich uśmiechów zbieranych na przestrzeni lat, a mimo to nie wyglądały one radośnie. Wręcz przeciwnie, zajęte były przez smutek, który stawał się coraz to częstszym bywalcem tamtych okolic.

Pewnego dnia pełnego zabieganych sekund bohaterka w jednej chwili była tu, w drugiej była już tam, tylko po to, żeby w następnej chwili znaleźć się gdzieś w pomiędzy. Wyraźnie było czuć, że nie wie, co robi. Że sama nie wie, dokąd zmierza. Szamotała się więc niespokojnie pomiędzy ciasnymi pokojami mieszkania, na które nie było ją stać. Mieszkania, w którym sterty książek zalegały na parapetach, a stos brudnych kubków oblegał biurko. Zatrzymała się tylko na chwilę, gdy jej wzrok zatrzymał słonik z masy solnej wykonany gdzieś w „starych dziejach”. Otulony był żalosną warstwą kurzu. W już smutnych bursztynowych oczach kobiety nagle dodatkowo zrodził się wilgotny kryształ. Zdawało się, że oboje lata świetności mieli już za sobą.

Ujęła słonika w swoje neurotycznie zimne dłonie, a chwilę potem przytuliła go mocno do swojej klatki piersiowej tak, że uszczerbił się kawałek słoniowej trąby.

- Przepraszam... – Jęknęła bohaterka, gdy jej płuca oblały się gorącym zwiastunem płaczu. Ciepłe łzy spływały beztrosko po delikatnej skórze twarzy, a do swojej uprzykrzającej życie zabawy postanowiły zaprosić także ciekący katar. – A niech by to...

Wpatrywałam się w nią z wygodnego fotela. Obserwowałam jak opłakuje solnego słonika zupełnie jakby był jej największym skarbem. Zdałam sobie sprawę, że jestem świadkiem czegoś unikalnego. Nigdy nie widziałam niczego podobnego i czułam, że najprawdopodobniej też w przyszłości więcej nie zobaczę. Z tym większą uwagą śledziłam jej kolejne poczynania. To, jak zarzuca na siebie długi czerwony płaszcz, sznuruje swoje ciężkie zielone buty i w naiwnej nadziei na uratowanie sytuacji idzie kupić klej wbrew smagającemu deszczowi.

Zdawało się, że tylko nią jedną targała aż tak paląca potrzeba, żeby wyjść z domu. Chodnik był pusty. Poza stukiem zderzających się ze sobą powierzchnią kropel, słysząc było wyłącznie jej ciężki oddech. Nie wiedzieć czemu, chciałam, żeby moja bohaterka zawróciła. Owinęła się w koc i zapomniała o słoniku. Zapomniała o bólu. Do przewidzenia więc było, że zgodnie z działaniem kina, kobieta najprawdopodobniej uczyni coś całkiem odwrotnego do mojej woli. Pewnie parła do przodu ze swoim drobnym, mało pomagającym parasolem.

Zaczęłam się pocić. Nie rozumiałam, dlaczego tak bardzo się przejmuję. To był tylko film, podczas którego i tak niewiele się działo, czemu więc moje wnętrze pragnęło krzyczeć?

Coraz to kolejne kroki odbijały się echem w moich uszach. *Zatrzymaj się dziewczyno. Zatrzymaj się, proszę.* Być może już kiedyś to oglądałam. Może dlatego tak bardzo utożsamiałam się z jej losem i tak bardzo rozumiałam, co czuła. Z drugiej jednak strony wiedziałam, że czegoś takiego bym nie zapomniała. To było zbyt autentyczne, by mogło zwyczajnie zatrzeć się w odmętach pamięci.

Patrzyłam jak moja bohaterka kieruje się w stronę pasów. To już nie były żarty. Wpadłam w nieopisywalną panikę. Coś próbowałam krzyknąć, ale mój głos rozmył się z niemalże ogłuszającym dzwonkiem telefonu.

Już wiedziałam, choć bardzo nie chciałam wiedzieć. Już widziałam, a tak rozpaczliwie nie chciałam widzieć, co działo się potem. Miałam pełen obraz. Jedna zdeorientowana kobieta straciła równowagę i orientację. Jeden znudzony rutyną kierowca zagubił się w konwersacji zupełnie nie zdając sobie sprawy, że za chwilę zniszczy losy dwóch ludzkich istnień. Jego samochód zderzył się z jej ciałem. *Zakończyło się życie.*

Pustym wzrokiem analizowałam ten przeraźliwy obraz. Fakty w mojej głowie łączyły się powoli, a z każdą kolejną sekundą oblewało mnie coraz większe przerażenie. Sprawdziły się moje przeczucia. To było moje życie, moja wata cukrowa, moi bliscy i mój przeklęty słonik, którego trąby najwidoczniej nigdy już nie przyjdzie mi skleić.

Opadłam ciężko na fotel. *A więc tak to wygląda. Tak to się kończy – głupim przedstawieniem.* Cóż za rozczarowanie. Z desperacką paniką pragnęłam, by coś jeszcze się wydarzyło. By całość okazała się złym snem, albo, żeby bohaterka, albo raczej, żebym ja doszła z powrotem do siebie. Niestety tak się nie stało. Zamiast tego pojawił się ogromny napis „Wystąpili”, który doszczętnie złamał moje niebijące już przeciw serce.

Dziwnie było po raz ostatni patrzeć na twarze tych wszystkich ludzi, którzy wpłynęli na moje życie, zwłaszcza wtedy, gdy wszystko zrozumiałam. Zdałam sobie sprawę, jak złożoną sieć niesamowitych wypadków i wniosków oni wszyscy dla mnie utkali. Czy było to przeznaczenie, czy też może niezwykle złożony efekt motyla, oni mnie ukształtowali. Część z nich dała mi miłość, którą tak bardzo chciałam jeszcze przez jakiś czas oddawać z powrotem. Część natomiast przysporzyła mi bólu. I do nich miło byłoby się uśmiechnąć. Byli też tacy, którzy dali mi i ból, i miłość. Im pragnęłabym podziękować za naukę tego, że warto kochać. Trzeba kochać. Wręcz przenigdy nie można zapominać, żeby kochać także i samego siebie.

Ci wszyscy ludzie składający się na historię mojego życia obserwowali mnie z wielkiego ekranu z dumnym uśmiechem. Spełnili swoją rolę. Widząc ich wszystkich razem przemknęło mi przez myśl, że to całkiem miły sposób na to, żeby odejść, ale jakże trudny... Gdyby żegnać się ze światem miała się ta dziewczyna sprzed seansu, może byłoby jej łatwiej. Za sobą miałam jednak tyle obrazów szczęścia. To był dobry film, całkiem dobre życie. Szkoda było je opuszczać i opuszczać także tych szczerzących się do mnie wariatów. Machali do mnie bowiem wszyscy przyjaciele, sąsiedzi, kuzyni, nauczyciele. Chyba mignęło mi nawet kilku dawnych idoli, co pewnie w innych okolicznościach przyprawiłoby mnie o palpitacje serca. Dwie twarze jednak najbardziej przykuwały mój wzrok sprawiając, że spocone dłonie zaciskały mi się na podłokietnikach fotela. Moi rodzice.

To właśnie patrząc w ich oczy zdecydowanie stwierdziłam, że najzwyczajniej w świecie nie potrafię się pożegnać. To nie był właściwy czas. Zdecydowanie nie byłam na to gotowa. Stwierdziłam, że wrócę do wejścia, pobiegnę ulicą i wrócę do domu, gdzie czekać będzie na mnie uszczerbiony, ale szczęśliwy na mój widok słonik. I może nawet by mi się udało, gdyby nie zatrzymał mnie ten sam młodzieniec, który wcześniej wystawił ogłoszenie o seansie. Chciałam coś mu powiedzieć, wybłagać o pomoc, ale moje związane na marynarski węzeł gardło było zupełnie spięte i suche. Nie sposób było wydobyć z niego jakiegokolwiek słowa. Nic nie musiałam mówić, a on nic nie musiał odpowiadać, bo doskonale wiedziałam, że mnie rozumiał. Ze smutkiem pokiwał głową i delikatnie ujął moją dłoń. Była ciepła i idealnie gładka. Wraz z każdą sekundą tego dotyku spływał na mnie coraz większy spokój. Choć wciąż rozpaczliwie pragnęłam zostać i najlepiej przeżyć wszystko po raz kolejny, to już się nie bałam.

Powoli kroczyłam przez salę stawiając ostatnie kroki w znajomej rzeczywistości. To, co czekało mnie przy wyjściu było jedną wielką niewiadomą, ale pomyślałam sobie, że tak naprawdę niewiadomą było też całe życie. Wyrwana siłą z matczynego łona zderzyłam się ze światem, który, fakt, bywał trochę zimny, ale bywał też zachwycający. Całe życie obawiałam się nieznanego, a tak naprawdę każdego dnia w tym nieznanym wirowałam i nawet dobrze sobie radziłam. Uznałam więc, że nieważne co kryje się za drzwiami, ja stanę się na to gotowa. Wciąż jednak piekielnie trudno było mi się zebrać, by ostatecznie pożegnać dotychczasowy życiowy dobytek. Pozwoliłam sobie na jeszcze jedno finalne zerknięcie za siebie. Na ostatnie zanurzenie się w miłości, nim woda w wannie mojego życia zupełnie już wystygnie. Uśmiechnęłam się do siebie tylko w duchu na obrazy wszystkich minionych wspomnień. Tyle nedorzecznych historii się nzbierało. Szkoda, że ich nie spisałam... Pozostawał jednak film. Zatrzymany gdzieś poza granicami czasu w tej pozawymiarowej sali kinowej będzie świadectwem tego, że odbyło się wyjątkowe życie.

Szkoda, że się skończyło. Co za wielka szkoda.

Oliwia Janik

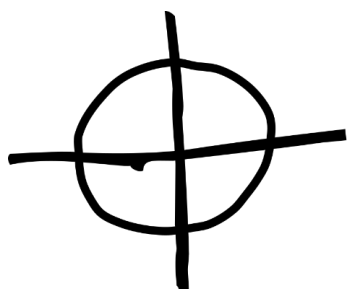
TAJEMNICE ZBRODNI - ZODIAK

Benicie'a 20 grudnia 1968 - dwójka młodych ludzi na randce, która zakończyła się śmiertelną strzelaniną. Morderca nigdy nie został znaleziony. Taki scenariusz wydaje się nierealny, jednak tragedia w mieście Benicie wydarzyła się naprawdę i nie była jedynym morderstwem o takim scenariuszu.

David Faraday i Betty Lou Jensen - 20 grudnia 1968; Darlene Ferrin - 4 lipca 1969; Cecelia Shepard - 27 września 1969; Paul Stine - 11 września 1969. 4 tragiczne zbrodnie dokonane przez tajemniczego kryminalistę o pseudonimie ZODIAK. Sam seryjny morderca w listach przyznawał się do 37 morderstw, jednak oskarżany jest o 5 morderstw i spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu dwóch osób.

Przeńmy się na moment do redakcji gazety "Examiner" w San Francisco, gdzie 31 lipca 1969 roku dotarł list. Podobne pisma otrzymały również redakcje gazet "The Chronicle" w San Francisco i "Times-Herald" w Vallejo. Seryjny zabójca w listach przyznał się do morderstwa z dnia 20 grudnia 1968 roku i do morderstwa zabójstwa Darlene Ferrin jak i oraz postrzelenia jej partnera, Mike'a Mageau. Do listów zostały dołączone zaszyfrowane wiadomości. Morderca zagroził, że jeśli treść owej korespondencji nie trafi na pierwsze strony gazet, przez weekend zabije tuzin osób. Kolejny list dotarł do "Examiner" 4 sierpnia 1969 roku. To właśnie w nim morderca pierwszy raz przedstawił się jako zodiak. List ten rozpoczynał się od słynnych słów: "*This is The Zodiac speaking*". 10 sierpnia, dzień po opublikowaniu rozszyfrowanej wiadomości na posterunek policji w Vallejo dotarła anonimowa wiadomość, zawierająca klucz do szyfrogramu.

Wszystkie jego zbrodnie były okrutne. Zodiak to pierwszy w historii zabójca, który w świadomy sposób wykorzystał media i był w stanie kontrolować reakcję policji, jak i ludzi, dalej będąc nieuchwytnym. Przez wiele lat próbowano odkryć jego tożsamość, było wiele podejrzanych jednak nikt nigdy nie został oskarżony. Mężczyzna z pewnością posiadał wysoki iloraz inteligencji, jednak patrząc na jego zbrodnie z perspektywy czasu, nie były one dopracowane. Jednak Zodiak zyskał sławę i do dnia dzisiejszego ludzie na całym świecie próbują złamać jego szyfry. Kryptogram, oznaczony jako „Z-340”, nie został rozwiązany przez 51 lat. 5 grudnia 2020 ogłoszono jego rozwiązanie; dokonała tego międzynarodowa grupa składająca się z amerykańskiego inżyniera Davida Oranchaka, australijskiego matematyka Sama Blake'a oraz belgijskiego programisty Jarla Van Eycke. Po rozwiązaniu tego szyfru, rozwiązanie trafiło do FBI, niestety zaszyfrowana wiadomość nie zawierała wskazówek, dotyczących tożsamości mordercy.



*J*eśli interesuje was dokładna historia Zodiaka, zachęcam do przesłuchania odcinka podcastu **Dorwać Bestię**, jak i obejrzenia filmu **The Zodiac** reżyserii Davida Finchera, który oparty jest na książce o tej samej nazwie, napisanej przez Roberta Graysmitha.

Kornelia Sroka

WIELOIMIENNY BOHATER

“Smutny jestem wujku. Wie wujek, kiedy byłem małym chłopcem bawiłem się w konie. Zmieniałem się w konia i z rozwianą grzywą pędziłem przez podwórko i ulice. A teraz, wujku, nie mogę zmienić się w człowieka choć jestem dyrektorem instytutu.”

W świecie pełnym dzieł literackich występuje *wielu* bohaterów, którzy wprowadzają nas do własnych światów. To głównie od nich zależy, czy dany utwór stanie się dla nas tym wyjątkowym, więc autorzy usilnie starają się, by postaci te były nieodłączną częścią niepowtarzalnej historii, która rozgrywa się na kartach książki. Każdy z bohaterów literackich ma unikalne cechy, umiejętności, ciekawą osobowość, czy po prostu ważną do spełnienia misję. Postacie te przyciągają odbiorców i wytwarza się między nimi specyficzna więź na przykład ze względu na zbliżony charakter czy światopogląd. Wbrew pozorom, to nie przeciwieństwa nas przyciągają, a rzeczy podobne. Bohaterowie w wielu przypadkach są również symbolami konkretnych grup ludzi, sytuacji. Czasem mają do przekazania ważną puentę lub morał. Mogą być fikcyjnymi kreacjami autorów, którzy kierują ich życiem albo prawdziwymi ludźmi utrwalonymi w powieści czy wierszu.

Gdy przeważnie bohaterowie nie stanowią tajemnicy w związku ze swoją tożsamością, to istnieją utwory, w których autorzy nie podają nam zbyt wielu informacji o “głównym napędzie” historii. Osobiście uważam, że jednym z najciekawszych przypadków takiej sytuacji są dzieła Tadeusza Różewicza, a zwłaszcza jego najśłynniejszy dramat “Kartoteka”, który otwierają słowa: *“Spisu osób nie podaję. “Bohaterem” sztuki jest człowiek bez określonego dokładnie wieku, zajęcia i wyglądu. “Bohater” nasz często przestaje być bohaterem opowiadania i zastępują go inni ludzie, którzy są również “bohaterami”.*” Nie ukrywam — taki wstęp potrafi wywołać prawdziwą konsternację, ale również wprowadza pewną dozę tajemniczości, która sprawia, że czytelnik aż chce poznać dalszą część dramatu. Taki wstęp sprawia również, że aż ciężko choć raz nie zastanowić się, kim jest ów “nieokreślony bohater”. Jaką tajemnicę w sobie skrywa?

Można powiedzieć, że jest równie kontrowersyjny, co sam utwór, w którym Różewicz poniekąd odszedł od typowego, tradycyjnego dramatu, jaki dobrze znamy. Nie znajdziemy w nim podziału na akty czy chociażby sceny, które trzymają akcję w konkretnych ramach. Ta — nie jest nawet zwarta i utrzymana w porządku logicznym. Scenografia jest uboga, ponieważ tworzy ją tylko pokój z łóżkiem i krzesłem, a miejsce jest jedno — niezmiennie, chociaż pełni wiele funkcji niezwiązanych ze swoim przeznaczeniem. Chór Starców staje się parodią chóru z tragedii antycznej, a zakończenie dramatu niczego nie puentuje, pozostawiając wrażenie otwartości, niedopowiedzenia. Odbiorca nabiera przekonania, że cały świat, w jakim rozgrywa się akcja, jest surrealistyczny, a czas płynie w zupełnie inny sposób. Dodatkowo forma dramatu i jego chaotyczne wydarzenia sprawiają, że czytelnik równie dobrze może zacząć czytać od dowolnego momentu, a i tak na koniec będzie w takim samym położeniu, co osoba czytająca od początku.

Tak, jak zapowiedział to autor — Bohater wcale nie ma imienia, a w zasadzie ma ich zbyt wiele, by można było przyjąć jakiegokolwiek z nich za to prawdziwe. Nie mamy żadnego pojęcia o jego wyglądzie, bo na ten temat nie pojawia się nawet wzmianka. Jego wiek także pozostaje niewiadomą, ponieważ podobnie jak w przypadku imienia — zmienia się on wraz z pojawiającymi się w pokoju Bohatera ludźmi, którzy swobodnie przechodzą przez pomieszczenie, jakby był ruchliwą ulicą w centrum miasta lub obleganą kawiarnią. Nie zauważają Bohatera, jedynie niektórzy zatrzymują się przy jego łóżku. Czasem tylko po to, by zarzucić mu kłamstwa, zdradę. Innym razem proszą o pomoc, a jeszcze innym przeprowadzają z nim wywiad. Za każdym razem zwracają się do niego innym imieniem, które Bohater czasem poprawia. Zmianie podlega także jego tożsamość, ponieważ szybko potrafi znów stać się dzieckiem lub dorosłym.

Nieraz można odnieść wrażenie, że Bohater jest wystraszony sytuacją, w której ktoś obcy znalazł się w jego mieszkaniu, ale mimo głośnych protestów i prośb o opuszczenie pokoju, rozmawiający z nim ludzie nie spełniają jego żądań, lekceważą towarzyszący mu niepokój i nawet nie

myślą o przerywaniu dyskusji. Wymagają od niego odpowiedzi i interakcji, której Bohater nie chce lub nie może im zapewnić. Podobnie działa Chór Starców, który w zasadzie zaczepia słownie Bohatera, każe mu mówić, podejmować jakieś czynności, wywiera na niego presję, by to on nadawał kształt otaczającemu światu. Chór nieraz wyśmiewa w lekceważący sposób wypowiedzi Bohatera, jest jak ściągające na dno głosy rozczarowania. Mimo wszystko Różewiczowski everyman nie wydaje się być nimi przejęty, a wręcz sprawia wrażenie głuchego i nieobecnego. Nieco inaczej wygląda kwestia przechodzących obok niego ludzi, ponieważ, gdy ci nie dają za wygraną i za wszelką cenę zostają na swoim miejscu, Bohater zaczyna się zmieniać. Wydawać by się mogło, że i do takiej sytuacji wkrótce się przyzwyczaja, aż ta przestaje robić na nim najmniejsze wrażenie i wraca do swojego transu pełnego obojętności i bierności. Na pierwszy rzut oka, nie zauważyłam w tym nie zauważyłam w tym nic nadzwyczajnego, ale z czasem zrozumiałam, że zmieniającą się po czasie postawę Bohatera można porównać do "złamania" się człowieka, ponieważ, gdy wie on już, że żadna próba pozbycia się ludzi z mieszkania nie daje oczekiwanych skutków, zaczyna godzić się z losem. Nie ma w nim już gniewu, strachu ani smutku. Ponownie staje się człowiekiem pogrążonym w swoim własnym świecie, odcinającym go od tego, na co nie ma wpływu. Jest to smutna refleksja, pokazująca jednostkę, która nie potrafi sobie poradzić z zapewnieniem sobie własnego komfortu, która nie jest wysłuchana i ma świadomość tego, że nigdy nie będzie, więc stara się ukryć to pod warstwą apatycznego spokoju. Bohater w rozmowie z Wujkiem wypowiada takie słowa, jak: *"Ja wiem, że wielu klaskało, ale oni już zapomnieli. Teraz zajmują się markami samochodów albo bawią się na balach maskowych, a ja ciągle jeszcze składam ręce i tamto klaskanie klaszcze we mnie. We mnie jest czasem takie ogromne klaskanie. Jestem pusty jak bazylika w nocy. Klaskanie, wujku, klaskanie..."*. Klaskanie w tym przypadku można odnieść do przytakiwania "silniejszym", by móc wieść lepsze życie. Bohater wstydzi się tego, że "klaskał", ale zostało w nim tak dogłębnie zakorzenione, że nie może go przerwać, co równie dobrze odczytać można jako osobistą klęskę. Wyuczona ze strachu bierność wkrótce sprawia, że nie potrafi żyć inaczej i w sytuacji, w której odczuwa strach, przytakuje.

Podczas spotkania z nauczycielem, dowiadujemy się, że Bohater miał zdawać maturę, ale wybuchła II wojna światowa. Jest to istotna informacja, ponieważ dowodzi ona, że ów Bohater jest przedstawicielem pokolenia Kolumbów, czyli pokolenia, które miało marzenia, plany i nadzieje, ale nigdy nie zdołało ich zrealizować. Gdy oni wchodziłi w dorosłość, świat wywrócił się do góry nogami i już nigdy nie wrócił do wcześniejszej formy. Jednocześnie wraz z wojną ruiną stało się wszystko, co chcieli misternie budować. Zostały im tony popiołów i zgłiszczka dawnych snów. Bohater jest naznaczony wojną i mimo upływu lat nie potrafi powrócić do normalności, czuje się wyobcowany, ma wrażenie, że nie ma dla niego miejsca. Tak naprawdę jedynymi stałymi w całym życiu jest łóżko i krzesło, które znajdują się w pokoju. Cała reszta jest krucha jak domek z kart, dlatego też nie jest przywiązany ani do ludzi, ani do roli, jaką odgrywa. Przez większą część czasu tylko leży, jest porażony zdarzeniami z przeszłości. Już na samym początku utworu budzą go koszmary, można zauważyć, że w jego pamięci wojna wydrążyła głęboką ranę, która nigdy nie będzie w stanie się zasklepić.

"Boże! Żeby tylko pani mnie zrozumiała. To wszystko jest takie proste. Zabiorę pani kilka minut i odejdę, ale mam obowiązek coś pani powiedzieć, a pani ma obowiązek mnie wysłuchać. Chcę powiedzieć, że to dobrze, że pani jest. Że pani jest na tym naszym świecie, taka właśnie, że ma pani osiemnaście lat, takie oczy, usta, włosy i że pani się uśmiecha. Tak powinno być. Tak właśnie powinno być. Młoda z czystą, jasną twarzą, z oczyma, które nie widziały... nie widziały. Chcę tylko jedno powiedzieć: nie czuję do pani nienawiści i życzę szczęścia.

Życzę, aby pani tak się uśmiechała i była szczęśliwa. Widzi pani, ja jestem uwalany w błocie, we krwi..."

Bohater wybaczając Niemce, życzy jej jak najlepiej, bo wie, że najważniejsze jest życie toczące się dalej, mimo że jego już na zawsze zatrzymało się w tym traumatycznym okresie i żadna rola, jaką w życiu będzie pełnił, nie pozwoli mu o tym zapomnieć.

Bohater mimo wszystko żyje wieloma wydarzeniami, które przywoływane są przez przychodzące do niego postacie, a każde z nich sprawia wrażenie zupełnie nowej, świeżej historii, a w zasadzie jej krótkiego urywku. Można powiedzieć, że everyman tak naprawdę żyje tysiącem fragmentów istnień, bo po kataklizmie wojny nie potrafi złożyć jednego w sensowną całość.

Wielu bohaterów literackich w pewnym momencie odrzucało dotychczasowe wartości i przechodziło przemianę. Bohater dzieł Różewicza tego nie robi i robić nie zamierza. W wierszu „Przyszli, żeby zobaczyć poetę”, Bohater siedząc na krześle, zakrywa twarz. Ponownie nie czuje się komfortowo ze świadomością, że ktoś go odwiedza, ale nie potrafi wyprosić przybyszów. Czuje się bardziej obiektem niż człowiekiem. Na pytanie, co robi, odpowiada, że właściwie nic, że długo dojrzewał do tego, by móc to powiedzieć. Mówi także, iż *“byle jaki Gustaw, przemienia się w byle jakiego Konrada”*. Zmianę tę uważa za bezsensowną, ponieważ każdy może ją przejść, a to skutkuje tym, że ludzie stają się byle jacy i tacy sami. Nie ma w nich nic wyjątkowego, ponieważ każdy z nich stara się dopasować do ustalonego wzorca.

Oprócz dzieł autora, warto wziąć pod uwagę jego biografię, która poniekąd rzuca pewne światło na kreację Bohatera w jego utworach. Tadeusz Różewicz bowiem również jest przedstawicielem pokolenia Kolumbów. Stąd można stwierdzić, że przeżycia Bohatera są w jakimś stopniu powiązane z przeżyciami autora lub znanych mu osób z pokolenia Kolumbów.

Kim więc jest Bohater? Przez koncepcję utworu rodzi się mnóstwo myśli przemawiających za tym, że Bohaterem może być człowiek chory lub na łożu śmierci, który sam nie jest do końca świadomy, co się z nim dzieje. Według mnie, Bohaterem dzieł Różewicza jest każdy. Bohater to tak naprawdę głos tysięcy, a może nawet i milionów ludzi, których spotkała taka sama historia, którym zostało odebrane wszystko. Przez Bohatera krzyczą ofiary wojny, rozrzucona kartoteka zdarzeń sprawia, że akcja utworu nigdy się nie kończy, ponieważ ich historia zawsze tkwi w pamięci. Postaci, które przewijają się przez cały czas akcji, sprawiają wrażenie krążącego widma. Są niewyraźne, ale one również symbolizują ogrom ludzi dotkniętych w mniejszym lub większym stopniu wojną. Stanowią ciepłe wspomnienia, a także liczne grzechy, popełniane za życia.

Bohatera możemy także porównać do Kordiana z dramatu J. Słowackiego. Bohater zgubił cel własnego życia i usilnie próbował go odnaleźć. Różewiczowski everyman również gubi sens egzystencji, ale, w przeciwieństwie do Kordiana, nie potrafi go odnaleźć. Jest więc nowoczesnym Kordianem, który zmaga się traumą minionych lat.

**Praca została doceniona podczas 12. Edycji konkursu MAG SŁOWA, w którym przyznane zostało
III Miejsce**

Karolina Strzyż

BUNGOU STRAY DOGS – BEZPAŃSCY LITERACI

Gatunek: Akcja, Super moce, Komedia

Ilość sezonów (pod koniec 2021 r.): 3 (kolejny już zapowiedziany na 2022 r.)

Studio: Bones

Historia opowiada o nastoletnim chłopaku - **Atsushim Nakajimie**, który dopiero co został wyrzucony z sierocińca (bez żadnego konstruktywnego powodu). Chłopiec po kilkudniowej błędnej wędrówce próbuje jakoś uchronić się przed śmiercią głodową, dzięki czemu w ciekawy sposób poznaje **Dazaia Osamu** - samobójcę i detektywa w jednym.

Wyżej wymieniony postanawia zaprosić przymierającego głodem na posiłek i po krótkiej konwersacji w restauracji dowiaduje się o jego problemie - przeświadczeniu, że jego tropem podąża krwiożerczy tygrys. Detektyw postanawia rozwiązać źródło jego utrapień, dzięki czemu dowiaduje się, że Atsushi posiada pewną moc. Chłopak nie ma o niej pojęcia, więc jest bardziej zdziwiony od nieznanego.

Dazai składa chłopcu propozycję, by dołączył do Zbrojnej Agencji Detektywistycznej dla obdarzonych, do której sam należy.

To anime jest wyjątkowe z wielu powodów, ale wydaje mi się, że największym atutem są barwni bohaterowie. Każdy ma trochę swojego ekranu czasowego i każdy jest w ten czy inny sposób uzdolniony i niezwykły.

Wszyscy się uzupełniają i tworzą nietuzinkową całość.

Kolejnym ogromnym plusem produkcji jest humor - który tworzą wcześniej wspomniani dobrze wykreowani bohaterowie - w praktycznie każdym odcinku znajdzie się jakiś niezobowiązujący żart, który może nie doprowadzi do nagłych wybuchów śmiechu, ale zwyczajnie rozluźni oglądającego.



Ostatnim argumentem za jest **kreska**, która bez wątpienia cieszy oczy. Każdy szczegół jest dopracowany, ruchy płynne i naturalne. I choć czasem zdarzają się małe potknięcia, lekkie uproszczenie np. twarzy bohatera w jednej scenie, to i tak nie zmienia to mojego zdania o grafice. A stroje bohaterów jak i ich mimika są po prostu cudowne i nie wiem jak inaczej mogłabym je opisać.

Reasumując, bardzo polecam ten tytuł; zawiera nutkę grozy, trochę humoru i wielu barwnych, inteligentnych bohaterów, którym chce się kibicować. Jestem pewna, że każdy znajdzie tu coś dla siebie. I choć to trzy sezony, to minie naprawdę szybko.

Urszula Marciniak

MOVE TO HEAVEN – CZYLI PRZEPROWADZKA DO NIEBA

„Move to heaven” to południowokoreański serial dostępny w serwisie Netflix od 14 maja 2021 roku, który skupia się wokół tematyki śmierci i żałoby. Tytuł serialu to równocześnie nazwa firmy zajmującej się sprzątaniami miejsc zgonów, którą prowadzi ojciec (**Han Jeong-u**) wraz z dwudziestoletnim, chorującym na Zespół Aspargera synem (**Han Geu-ru**). Obaj mają ogromny szacunek do zmarłych i zawsze przed pracą "informują" ich (jakby w formie modlitwy) o tym, że pomogą im w ostatniej drodze oraz posprzątają ich miejsce zamieszkania. Z wielką starannością wykonują swoje obowiązki, a najważniejsze znalezione przedmioty pakują do specjalnych pudeł, które następnie starają się przekazywać ich bliskim. Geu-ru jest bardzo wyjątkową postacią, trudno mu zrozumieć interakcje społeczne i nie jest zbyt dobry w okazywaniu emocji, a ponadto czasem potrzebuje opieki. Bardzo źle znosi nagłe zmiany, które niestety czasem mają miejsce. Sam nie potrafi okazywać uczuć tak jak inni, ale doskonale wie jak poruszyć ludzkie serca. Posiada ogromną wiedzę o morskich stworzeniach oraz z zakresu chemii, wręcz nieludzką pamięć fotograficzną oraz wysoką inteligencję, którą sprawnie wykorzystuje w pracy oraz do rozwiązywania własnych problemów. Pewnego dnia z powodu choroby serca niespodziewanie umiera ojciec Geu-ru. W ostatniej woli napisał, aby jego młodszy, przyrodni brat (Cho Sang-gu) zamieszkał z jego synem. Początkowo Sang-gu jest przeciwny, ma za sobą niezbyt dobrą przeszłość i uważa, że nie nadaje się do "roli niańki", jednak ostatecznie zgadza się na zamieszkanie pod jednym dachem z Geu-ru, dzięki korzyściom finansowym, które mógłby zdobyć. Wujek Geu-ru niewiele wie o Zespole Aspargera, więc przez pewien czas jego relacja z Geu-ru rozwija się fatalnie w niemalże każdy możliwy sposób. Na szczęście jest sąsiadka, a zarazem przyjaciółka młodego chłopaka (Yoon Na-mu), która bardzo dba o jego bezpieczeństwo i dobrobyt, czasem jest wręcz nadopiekuńcza. Z prawie każdym kolejnym odcinkiem dowiadujemy się czegoś nowego na temat wujka, jego przeszłości i teraźniejszości. Coraz lepiej go poznajemy, dzięki czemu możemy lepiej zrozumieć jego charakter oraz zachowanie. Geu-ru po śmierci swojego ojca dalej chce pracować w ich wspólnej firmie, pomimo trudności, które się pojawiły. Nie potrafi odpuścić, bez względu na wszystko dąży do wyznaczonych sobie celów. Zmarli czasem zostawiają po sobie pewne nierozwiązane tajemnice. Geu-ru nie tylko sprząta miejsca zamieszkania zmarłych, ale także pragnie rozwiązywać pozostawione przez nich problemy, tym samym pomagając im oraz ich bliskim. W pewnym sensie stara się obmywać ich stare rany. Zależy mu na tym, by poznawać historie zmarłych, ich uczucia, myśli i ważne dla nich osoby. Nie traktuje ich jako zwłoki, lecz jako ludzi, którzy odeszli. Chłopak robi wszystko, aby mogli spokojnie opuścić ten świat. Dzięki temu Geu-ru sam uczy się czym jest miłość i jak poradzić sobie ze stratą.

Według mnie jest to genialny serial warty uwagi i rozgłosu. Trafiłam na niego przypadkiem. Spodziewałam się czegoś innego, ale w rezultacie byłam jeszcze bardziej zachwycona niż myślałam, że będę. Śmierć dotyka każdego, dlatego nie warto udawać, że nas to nie dotyczy. „Move to heaven” chwyta za serce w każdym odcinku.

*D*zięki tej produkcji możemy lepiej zrozumieć siebie i innych, spojrzeć na świat, życie oraz śmierć z nieco innej perspektywy. Nie tylko to jest świetne w tym serialu. Zachwyciła mnie gra aktorska Tang Joon-sanga, który wcielił się w rolę Han Geu-ru. Moim zdaniem bardzo dobrze poradził sobie z zadaniem, jakim było wcielenie się w osobę z Zespołem Aspargera (pamiętając o tym, że jest to zaburzenie, które u każdego może przejawiać się w inny sposób). Już od dawna nie byłam aż tak pozytywnie zaskoczona jakością serialu. Zdecydowanie polecam go wszystkim, w szczególności osobom, których dotyka lub dotknęła kiedykolwiek strata.

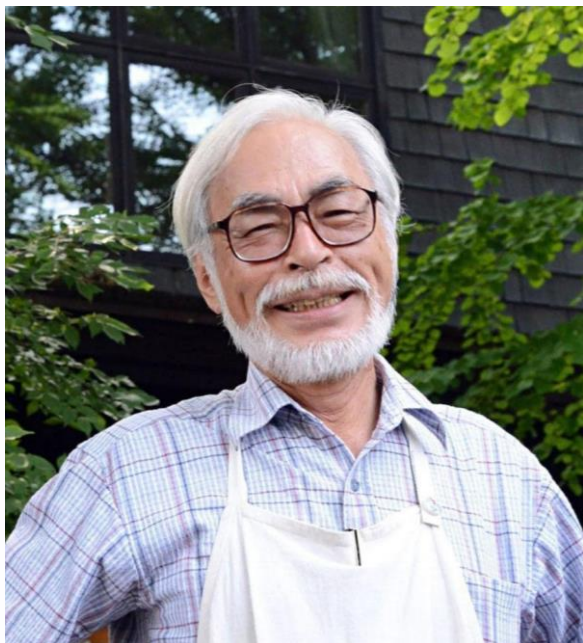


Tytuł: „Move to heaven”
Reżyser: Kim Sung-ho
Scenarzysta: Yoon Ji-ryeon
Rok premiery: 2021
Moja ocena: 10/10

Amelia Pater

RECENZJE REŻYSERÓW - HAYAO MIYAZAKI

„Wszystkie moje filmy są moimi dziećmi”

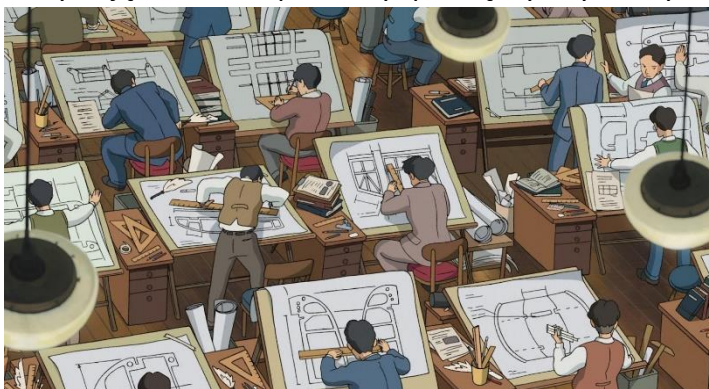


Ponad 200 lat temu w Japonii za sprawą Hokusai- jednego z najwybitniejszych drzeworytników, którego prace stały się definicją japońskości wykształciła się koncepcja artysty, który pełnię swoich możliwości może osiągnąć dopiero w podeszłym wieku. Hokusai po przekroczeniu wieku 60 lat stwierdził, że pojął istotę tego, czym jest sztuka i w jego mniemaniu dopiero od tego momentu jego prace są warte uwagi. Hayao Miyazaki jest idealnym przykładem “starca opętanego sztuką”.

Urodził się w czasie II wojny światowej, jako syn dyrektora fabryki produkującej części do samolotów wojskowych. Ze względu na ponadprzeciętnie dobrą sytuację finansową jego rodziny, wojna nie odbiła na nim głębokiego piętna, lecz sceny, których był świadkiem zakorzeniły w nim poczucie sprawiedliwości i głęboką empatię do innych. Przez 25 lat pracował, jako rysownik w różnych studiach, aż w wieku 43 lat, w 1984 roku założył wraz z dwoma przyjaciółmi **Studio Ghibli** z którym powiązany jest do teraz.

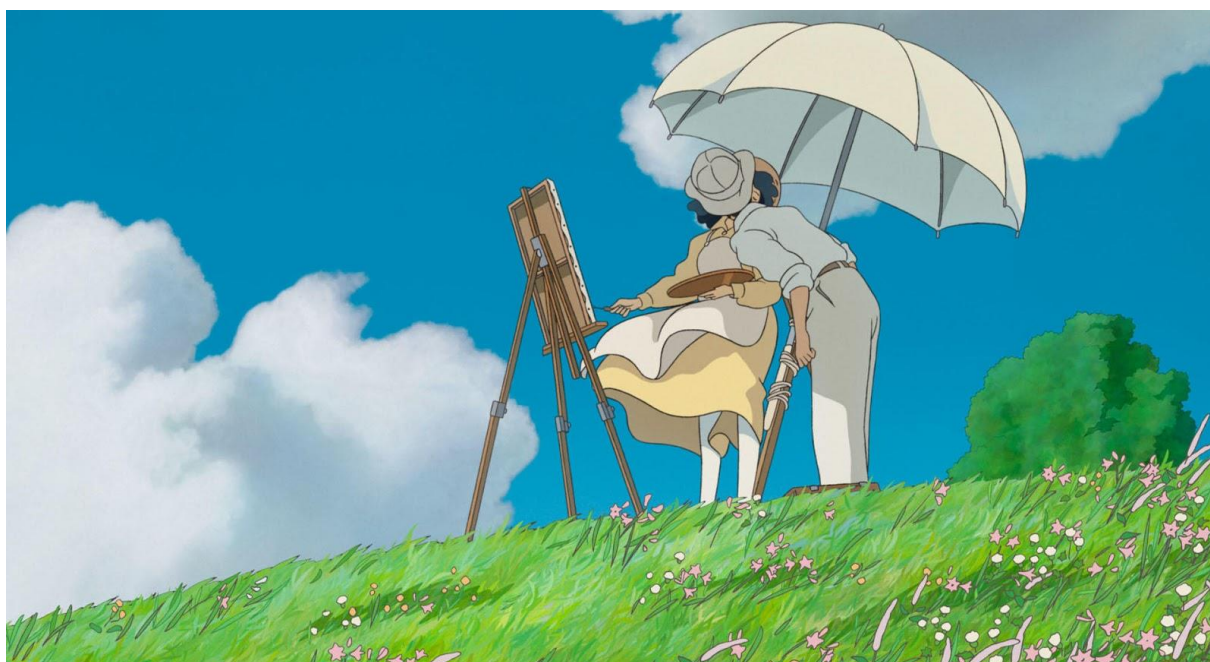
Charakterystyka jego filmów animowanych polega na syntezie typowo japońskiej animacji z cechami amerykańskimi. Filmy wykorzystują kontrast powstały pomiędzy wyrazistymi postaciami działającymi w świecie złożonym

z delikatnych pejzaży inspirowanych głównie Japonią, ale także Italią oraz Francją. I chociaż protagoniści są zarysowani tak charakterystycznie nie wybijają się z tłumu postaci również żyjących w danym świecie, bo nie ma uzasadnienia, by mieli się wybić. Nieistotne dla widza indywidua



w przedstawionym świecie mają własne, równowarte z uznanymi przez nas za protagonistów życia i dlatego w tłumie wyjątkowych postaci widz bez kontekstu nie rozpozna osoby o której film opowiada.

Każda produkcja ma swój własny, charakterystyczny styl, kolorystykę i nastrój, który wzmacniają kompozycje muzyczne **Joe Hisaishi'ego**. Pojawiają się też sceny oraz motywy charakterystyczne, jak chociażby brak jasno określonego antagonisty (co według Miyazakiego dobrze odzwierciedla realny świat), obowiązkowo przewijają się sceny z udziałem latających maszyn, szeroko pojęty environmentalizm mający na celu wprowadzenie harmonii pomiędzy bohaterem a otaczającym go światem. Rodzina i dzieciństwo reżysera to inspiracja do wszystkich jego filmów. Na przykład **“Mój sąsiad Totoro”** był hołdem dla jego chorej na gruźlicę matki, chłopiec z **“Ponyo”** został wykreowany na wzór jego syna, a każdy z pozostałych filmów zawiera wspomniane już samoloty- pasję nabytą od ojca. Wyjątkowe dla Miyazakiego jest także przedstawienie tworzenia się głębszych relacji pomiędzy parą ludzi. Wbrew ogólnemu rozumieniu nie stawia on znaku równości pomiędzy przywiązaniem a miłością i to właśnie przywiązanie stawia się wyżej w hierarchii. Protagonisci tworzą związki platoniczne oparte właśnie na przywiązaniu, zaufaniu i przyjaźni, dzięki którym są w stanie pokonać stojące im na drodze przeszkody.



Oglądając filmy stworzone przez Hayao Miyazakiego, odczuwa się wewnętrzny spokój. Odkrywają one nowe perspektywy na pozornie trywialne aspekty życia, jak żdźbła trawy kołyszące się na wietrze, ten jeden kamyczek o fantazyjnym kolorze przyniesiony przez kogoś na murek, czy starszy pan w pociągu z kapeluszem, z którego powypadało kilka nitek za dużo. Nieważne, po które z dzieł wydanych przez Studio Ghibli sięgniemy, możemy być pewni, że dobrze spędzimy czas. Na tę chwilę Hayao przygotowuje “swoje ostatnie wielkie dzieło” po ukończeniu którego zamierza ostatecznie przejść na emeryturę.

Maciej Struski

CZY WIESZ, ŻE...(ŚWIĄTECZNA EDYCJA)



W Danii poza zwyczajnym kalendarzem adwentowym, bardzo popularny jest również ten emitowany w telewizji, pełen niespodzianek i piosenek. Całe rodziny co wieczór zasiadają przed telewizorem, żeby obejrzeć kolejny odcinek świątecznego kalendarza. Ta koncepcja powstała jeszcze w 1962 roku, kiedy duńska telewizja DR1 emitowała historie z całego świata.

Na Filipinach świąteczna gorączka trwa już od... września! Filipińczycy uwielbiają ten czas w roku i robią wszystko, aby trwał jak najdłużej, dlatego też bardzo wcześnie zapalane są świąteczne lampki, a stacje radiowe nadają kolędy i pastorałki.



28 grudnia obchodzony jest w Hiszpanii Dzień Świętych Niewiniątek - *El Día de los Santos Inocentes*. Jest to odpowiednik polskiego Prima Aprilis. Ludzie robią sobie psikusy, a gazety publikują niewiarygodne, zmyślane wiadomości.

Bibliografia:

- <http://frakobenhavnwithlove.blogspot.com/2014/12/kalendarze-adwentowe-w-danii.html>
- <https://blog.parkinn.com/christmas-traditions-denmark/>
- Brand S.M. - "Święta na świecie", Znak, Kraków 2021
- <https://hispanico.pl/el-dia-de-los-santos-inocentes/>

Anna Fortuna

REDAKCJA TUBY

Opiekun redakcji - pani Joanna Brzostek

Amelia Pater IB
Dominika Jelonek IB
Emilia Warczakowska IB
Nina Bander IB
Wiktoria Bogdańska IB
Kornelia Sroka IIB
Hanna Galicka IIE
Magdalena Sieradzka IIIA
Oliwia Malińska IIB
Ula Marciniak IIB
Patryk Sanocki IIIB
Maciej Struski IIIC
Marcin Sokołowski IIIC
Karolina Strzyż IIIG
Anna Fortuna IIIG
Oliwia Janik IIH

Karolina Ostrowska IIB – opracowanie graficzne, okładka

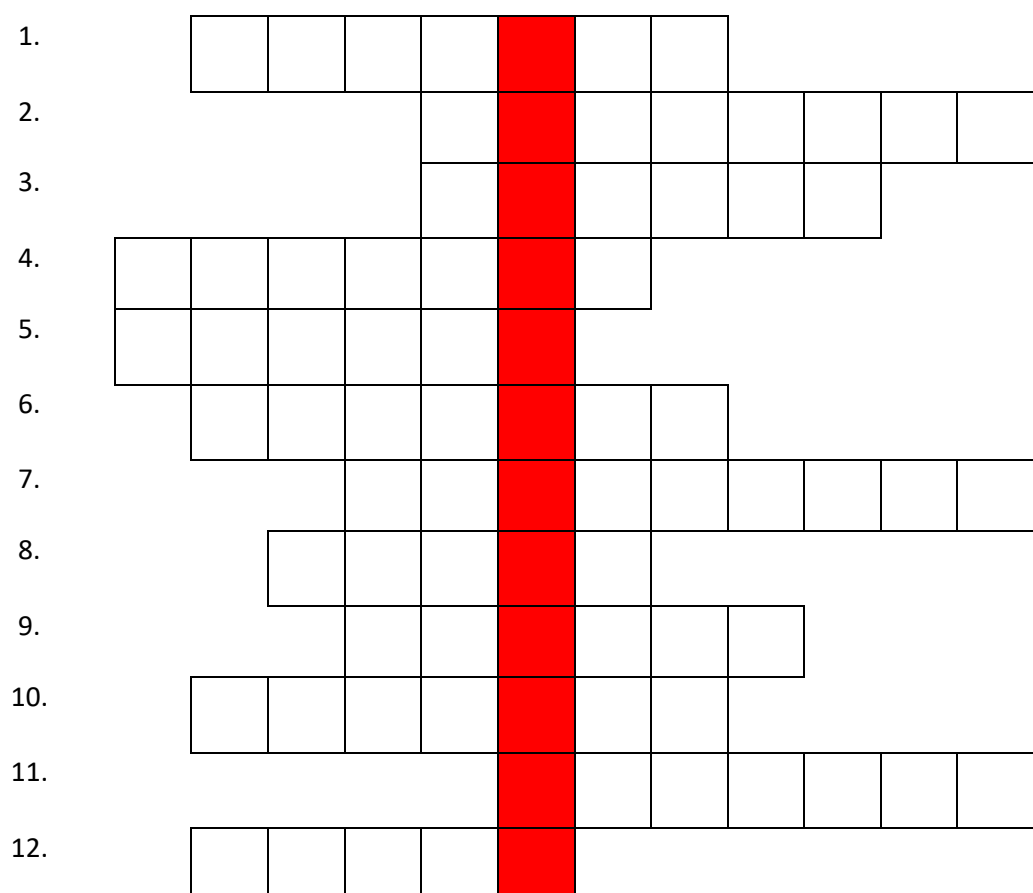
Patrycja Paluch IB – korekta

Szymon Wolski ID - korekta



Rozwiąż krzyżówkę i przynieś ją do Sali 103. Weźmie ona udział w **losowaniu**! Do wygrania jednorazowa „NIEPYTAJKA”. Zwycięzcę poinformujemy przez radiowęzeł tuż przed wydaniem kolejnego numeru.

„Niepytajkę” z październikowego numeru Tuby wygrała **Anna Tychańska z klasy IIIH**. Gratulujemy!



1. W przeciwieństwie do Świętego Mikołaja karze dzieci, które źle się zachowywały przez cały rok.
2. Taki jest opłatek przeznaczony dla zwierząt.
3. Czas oczekiwania.
4. Rodzaj pasożytniczych roślin z rodziny sandałowcowatych.
5. W Hiszpanii zastępuje opłatek.
6. Jest nią Befana.
7. Ciasto, które w okresie świątecznym króluje na wszystkich włoskich stołach.
8. Co roku zostaje sam w domu.
9. Śląska potrawa wigilijna.
10. Zupa z buraków.
11. Tradycyjne danie świąteczne w Japonii.
12. Wonna żywica otrzymywana z drzew i krzewów.